

“Dzień znów wstaje
słońcem...” – czyli
tajemnicza Vyska
o swoim najnowszym
projekcie muzycznym



*

Agnieszka Kuchnia Wołosiewicz (*Wielka Brytania*)

Vyska, pod tym właśnie pseudonimem kryje się Paulina Wysoczańska, która od dziecka brała udział w różnych festiwalach, zdobywając nagrody i wyróżnienia. Miała też przygodę z folklorem. Później, jako wokalistka *Deja Vue*, nagrała singiel pt. *Już nie słyszę Twoich słów*. Była także uczestnikiem *Metro* w Wieluniu pod okiem Pani Zofii Szpikowskiej.

Paulina uczestniczyła w wielu projektach muzycznych m.in. *Positiv Virus* razem z Robertem Madziarzem – Jej obecnym producentem, człowiekiem z ogromnym talentem i pasją. Ich muzyczne drogi przeplatały się już od wielu, wielu lat. Wspólne nagrania, gościnne koncerty, program *Mam Talent*. Życie niestety nie zawsze układa się tak, jak sobie zaplanujemy i tak, jakbyśmy tego chcieli. Oboje mówią, że dziś przyszedł jednak czas na spełnienie marzeń, czego efektem są wydane już dwa single, zapowiadające debiutancką płytę Artystki, nad którą Vyska pracuje wraz z Robertem w *Sound Travel Studio*.

*

Agnieszka Kuchnia-Wołosiewicz:

Kiedy w Twoim życiu pojawiła się muzyka?

Paulina Wysoczańska:

Myślę, że towarzyszy mi odkąd pamiętam. Kiedy byłam małą dziewczynką, wygrywałam konkursy w przedszkolu i szkole. Otrzymując też tytuł wieluńskiej małej miss lata '96 i miss Ziemi Sieradzkiej '97, stałam się rozpoznawalna lokalnie, co oczywiście jest ważne, kiedy chce się docierać do szerszej publiczności ze swoją muzyką (uśmiech!). Jako nastolatka występowałam też z folklorystyczną kapelą ludową pod okiem śp. Marka Dery,

który przez wiele lat był moim muzycznym opiekunem.

Później byłam wokalistką zespołu *Deja Vue* z Wielunia i w weekendy śpiewałam na imprezach okolicznościowych. W ostatnich latach brałam (wraz z Robertem Madziarzem) udział w projekcie *PositiveVirus*, a także próbowałam swoich sił w programach: *Mam talent* i *Szansa na sukces*. Uczęszczałam także przez jakiś czas do Studia Piosenki Metro w Wieluniu, gdzie kształciłam się pod okiem pani Zofii Szpikowskiej.

Życie jednak nie zawsze pisze takie scenariusze, jakie byśmy chcieli i moja droga muzyczna była bardzo wyboista, ale w końcu nadszedł czas by spełniać swoje marzenia i tak właśnie powstała *Vyska* – długo wyczekiwany, wymarzony przeze mnie projekt. Czy się spodoba? Mam taką nadzieję.(uśmiech!).

Jesteś wokalistką, ale grasz także na gitarze.

Głównym moim instrumentem jest oczywiście aparat głosowy (śmiech!). Gram amatorsko na gitarze – w dużej mierze jestem samoukiem, choć za młodych lat uczęszczałam do szkoły muzycznej, gdzie głównym instrumentem była właśnie gitara, jednak gra klasyczna to nie mój klimat. Chciałabym zacząć grać na pianinie – jest to moje marzenie, ale nie wiem czy ilość codziennych obowiązków pozwoli mi na jego realizację. No i jeszcze podobno świetnie gram na nerwach, ale to już

nie mnie oceniać! (śmiech!)

Jaki gatunek muzyczny uprawiasz?

Jest to szeroko pojęty pop z elementami R&B, House, Trance-electro. Nie chciałabym się jednak ograniczać, musi coś po prostu zaiskrzyć. Płyta, nad którą pracujemy, będzie „kolorowa” (uśmiech!).



Paulina Wysoczańska, fot. Michał Dudek



Paulina Wysoczańska, fot. Michał Dudek

*

Jakie znaczenie mają dla Ciebie teksty piosenek, które wykonujesz?

Ogromne! Muszą odzwierciedlać moje uczucia, których doświadczam lub doświadczyłam, a także moją naturę – spójne ze mną, ale także uniwersalne, czyli dotykać życia innych

osób. Chciałabym jednocześnie zaznaczyć, że nie jest tak, iż z piosenek można wyczytać mój życiorys. Tego się nie doszukujcie (śmiech!). Aż tak otwarta nie jestem, żebyśmy się dobrze rozumiały (śmiech!).

Współpracujesz obecnie z Robertem Madziarzem nad swoją debiutancką płytą. Jak nawiązała się Wasza współpraca?

Nasze drogi z Robertem przeplatają się od wielu, wielu lat. Jest on autorem i kompozytorem piosenki, którą nagrałam w roku 2006, będąc wokalistką *Deja Vue*. Wtedy go poznałam. Piosenka nosiła tytuł „Już nie słyszę Twoich słów”. Cudowne wspomnienie.

Niestety drogi *Deja Vue* i Roberta rozeszły się, ale my spotkaliśmy się ponownie po latach, kiedy poprosiłam go o nagranie coveru. Wtedy też padł pomysł, żeby coś stworzyć. I tu znowu życie napisało inny scenariusz. Takich rozstań i powrotów było kilka, widocznie to nie był ten czas. W końcu te kręte drogi złączyły się i mam nadzieję, że tak już zostanie... I dziś nie chcę zastanawiać się, co będzie kiedyś. Dla mnie ważne jest „tu i teraz”. Ktoś mi kiedyś powiedział: „Paula, w historii już nic nie zmienisz, jutra nie znasz, możesz nie doczekać, dlatego ciesz się każdym dniem, jakby miał być Twoim ostatnim – spełniaj marzenia”. Dziś właśnie to robię. Robertowi dziękuję, gdyż to dzięki niemu mam taką możliwość.

On jest nieoderwalną częścią tego projektu. Cudowny człowiek, niesamowicie uzdolniony gitarzysta, kompozytor, producent i przyjaciel – po prostu Magik. My pracujemy, a wszechświat niech nam sprzyja, skoro połączył nasze muzyczne drogi(uśmiech!).

Twój debiutancki singiel odnosi sukcesy na listach przebojów. Z pewnością cieszy Cię taki odbiór?

Oczywiście. Miło jest, kiedy ktoś docenia to, co robisz, tym bardziej, że wkładam całe serce, całą siebie w ten projekt. Cieszy mnie, że piosenka się podoba. Mam nadzieję, iż kolejne utwory również przypadną do gustu.

Niedawno nakręciłaś teledysk do kolejnego utworu. Za Tobą premiera. Tak się składa, że jestem autorką tekstu i w tym miejscu Tobie i Robertowi bardzo dziękuję za zaproszenie do Waszego projektu.

Tak, rzeczywiście pod koniec września nakręciliśmy teledysk do piosenki „Odejść z wiatrem”, do której napisałaś słowa. Bardzo za nie dziękuję. Piosenka jest trafiona w stu procentach (uśmiech!). To mój pierwszy teledysk, więc nie ukrywam, że się stresuję, tym bardziej, iż jakoś nigdy nie lubiłam siebie w obiektywie. Zawsze musi być ten pierwszy raz (śmiech!). Jeśli chodzi o premierę, to odbyła się 06.10.2022, serdecznie

zapraszam Państwa do obejrzenia i posłuchania. Mam nadzieję, że się spodoba.

Plany koncertowe?

Oczywiście są, jednak projekt zaczęliśmy realizować tak naprawdę już po sezonie koncertowym (plenerowym) i jednocześnie jesteśmy w trakcie przygotowań materiału na płytę, więc wszystko przed nami.

Grywamy również akustycznie, łącząc nasze piosenki z coverami, dzięki czemu możemy już teraz promować materiał z nadchodzącej płyty i oczywiście obserwować, jak publiczność reaguje na nasz autorski materiał prezentowany tylko z gitarą. Niewątpliwie tego typu granie ma swój urok, gdyż wychodzi wtedy na wierzch cała prawda o piosence. Daje nam to możliwość grania różnych koncertów w pubach, klubach i innych ciekawych miejscach, gdzie tego typu skład idealnie się sprawdza. Warto dodać, że na płycie aranże są bogate w instrumenty, zatem tych akustycznych wersji live można posłuchać właśnie tylko na naszych recitalach, a mamy ich trochę do zagrania w najbliższym czasie, co też świetnie połączyło się z premierą nowego singla pt. „Odejdę z wiatrem”.

Tuż po premierze singla, będzie nas można zobaczyć i usłyszeć na żywo podczas dwóch koncertów akustycznych.



Paulina Wysoczańska i Robert Madziarz, fot. Michał Dudek

A Twoje muzyczne marzenia?

Moim największym marzeniem jest robić to, co kocham, czyli śpiewać. Jeśli odbiorcom moja muzyka przyniesie radość, będzie pięknie. Chciałabym wrócić na scenę, ale też nagrywać. Pragnę, by coś po mnie zostało i jednocześnie chcę dzielić się swoją pasją. Śpiewając, jestem szczęśliwa i daję szczęście (czy też wzruszenie) innym. To jestem cała ja (uśmiech!).

Gdzie można “poobserwować” Ciebie i Twoje działania artystyczne?

Wszystkie informacje można śledzić na moim funpage na facebooku - Vyska, ale też oczywiście posłuchać i obejrzeć na YouTube. Serdecznie zapraszam!

Ściskam mocno i do usłyszenia! (uśmiech!).

Dziękuję Ci za rozmowę!

Agnieszka Kuchnia-Wołosiewicz

<https://kuchniawolosiewicz.blogspot.com/>

*

Zobacz też:

Radiowiec z Dublina. Tomasz Wybranowski.

„Piosenki na koniec tygodnia” – projekt muzyczny Remiego Juśkiewicza z Londynu

Polska Matka Teresa

Rozmowa z reżyserem Pawłem Wysoczańskim na temat filmu dokumentalnego o lekarce Helenie Pysz, która sama będąc na wózku inwalidzkim, od wielu lat pomaga trędowatym w Indiach.



Paweł Wysoczański

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Na tegorocznym Festiwalu Polskich Filmów w Austin będziemy pokazywać Twój film dokumentalny „Jutro czeka nas długi dzień”. Jest to poruszająca historia lekarki i misjonarki świeckiej, Heleny Pyz, która sama będąc na wózku inwalidzkim, od ponad trzydziestu lat pomaga ludziom w Indiach, w Ośrodku Rehabilitacji Trędowatych w Jeevodaya. Co takiego poruszyło Cię w tej historii, że postanowiłeś ją opowiedzieć?

Paweł Wysoczański:

Najważniejsza jest dla mnie bohaterka Helena oraz to, co uosabia. Poświęcenie drugiemu człowiekowi, gotowość do pomagania na drugim końcu świata – w Indiach. Praca z wykluczonymi i niechcianymi, mimo własnej niepełnosprawności. Film o Helenie nie jest jednak laurką. To nie jest opowieść o super bohaterce. To dla mnie bardzo ważne. Stawianie pomników w filmie mnie nie interesuje. Helena jest twarda, czasem szorstka, może bezwzględna. Mam nadzieję, że widz po obejrzeniu filmu zrozumie, dlaczego Helena czasem taka bywa. Rzeczywistość w jakiej żyje moja bohaterka jest twarda. Ona musi wszystkiemu sprostać.

Ośrodek dla trędowatych założył polski ksiądz-misjonarz, pallotyn, dr nauk medycznych Adam Wiśniewski, który zmarł w Jeevodaya w 1987 r. Helena Pyz przyjechała w

1989 r., aby kontynuować jego posłannictwo. Jak Helena Pyz zdobywała zaufanie ludzi z innego dla niej świata?

To dobre pytanie. Sam często je sobie zadawałem. Kiedy Helena przyjechała do Jeevodaya w 1989 roku nie mówiła w hindi, świat Indii był jej zupełnie obcy, opowiadała mi, że kiedy przyjechała było tak gorąco, że pasta do zębów parzyła ją w zęby. Helena jest innego wyznania niż osoby z którymi pracuje, jest wykształconą Europejką pracującą z ludźmi, którzy są często analfabetami. Mimo to jest w Jeevodaya od 33 lat. Jak sama mówi w filmie - jej niepełnosprawność pomaga jej. Chorzy w Jeevodaya nie mogą powiedzieć Helenie: ty nie wiesz jak to jest. Helena przez lata nauczyła się płynnie mówić w języku hindi, ale co najważniejsze - nauczyła się komunikować z miejscowymi dzięki empatii i zrozumieniu, jakie wykształciła w niej jej własna choroba. To jest silna osoba. Jej wrażliwość jest również silna. Wyjątkowa.



Helena Pyz, kadr z filmu „Jutro czeka nas długi dzień”, reż. Paweł Wysoczański



Nandani, kadr z filmu „Jutro czeka nas długi dzień”, reż. Paweł Wysoczański

W filmie widać silną więź, którą bohaterka nawiązała m.in. z dziećmi. Wzruszające są sceny z Nandani - dziewczynką, która nie może się z lekarką rozstać i chce z nią pojechać nawet do dalekiej Polski. Jak udało się nakręcić takie głębokie sceny, które wydają się autentyczne, nie inscenizowane?

Nandani rzeczywiście jest skarbem. W sensie ludzkim, ale również na ekranie. To urodzona bohaterka. Nandani zapominała o obecności kamery, nie przejmowała się ekipą, nie zwracała uwagi na operatora, dźwiękowca i reżysera. W filmie nie ma inscenizowanych scen, nic nie zostało wymyślone, nie było scenariusza, ale mimo że byliśmy w Indiach u bohaterki siedem razy - nie wszystkie sceny udało się nam zarejestrować. Niektóre sceny są zatem odtwarzane. Nie jest ich wiele, ale dla dramaturgii filmu zdecydowaliśmy się na taki zabieg. Nie chcieliśmy żadnych „gadających głów” w filmie, żadnych wywiadów.

Film był kręcony głównie w Indiach. Czy tamtejszym ludziom łatwo było zaakceptować, że ich historia stanie się częścią filmu?

Tak. Hindusi kochają oglądać filmy, ale również występować przed kamerą. Był to nawet pewien problem, ponieważ przy pierwszych wyjazdach do Jeevodaya, liczba dzieci chcących

wystąpić w filmie była tak duża, że przed naszą kamerą cały czas ktoś niechciany „występował”, przechodził, machał. Nie tylko dzieci tak reagowały. Wszyscy dorośli z Jeevodaya chcieli być częścią filmu.

Gdzie leży granica pomiędzy tym co prywatne, a tym, co można pokazać. Jak nakręcić prawdziwy film, żeby jednocześnie nie zrobić komuś krzywdy?

Podstawową zasadą w filmie dokumentalnym jest dla mnie nie krzywdzić bohatera. Ja zawsze każdemu swojemu bohaterowi pokazuję swoje filmy przed wypuszczeniem ich w świat. Do Jeevodaya do Heleny przyjechałem po raz ostatni specjalnie po to, aby pokazać jej gotowy film. Nie miała zastrzeżeń.



Kadr z filmu „Jutro czeka nas długi dzień”, reż. Paweł Wysoczański



Kadr z filmu „Jutro czeka nas długi dzień”, reż. Paweł Wysoczański

Jak film został przyjęty? Czy słyhać głosy, że film komuś pomógł, że przykład niestrudzonej Heleny Pyz, zainspirował?

Film inspiruje wiele osób. Widzowie zwracają uwagę, że nie mieli pojęcia że są ludzie, którzy poświęcają całe swoje życie, aby ratować innych. Co innego pojechać pomagać na 6 miesięcy życia, co innego spędzić w Indiach 33 lata jak Helena. Dzięki filmowi przybywa też darczyńców Jeevodaya, z datków bowiem Jeevodaya jest utrzymywane.

Byłeś już w Austin z bardzo ciekawym filmem „Jurek” o alpinistce Jerzym Kukuczce. Zresztą każdy Twój film porusza jakiś ważny temat i czegoś uczy. Czy dlatego wybrałeś film dokumentalny jako swoją drogę?

Kocham kino. Filmy dokumentalne realizuję, ponieważ ciekawią mnie prawdziwi ludzie, bohaterowie „z krwi i kości”. Staram się robić filmy dokumentalne tak jak filmy fabularne – aby były wartkie, miały napięcie, dobrze zbudowaną dramaturgię, nie tylko „ciekawego” bohatera. Ciągnie mnie zatem również do filmu fabularnego, który obecnie przygotowuję. Skończyłem pierwszą wersję scenariusza. To będzie współczesna historia rozgrywająca się na Śląsku.

Teraz realizujesz film o słynnym immunologu, Ludwiku Hirszfeldzie. Czy możemy się spodziewać, że w przyszłym roku zobaczymy ten film na Festiwalu w Austin?

Mam ogromną nadzieję, że film „Mensch” zostanie pokazany w Austin. Ludwik Hirszfeld to niezwykła postać. Inspirująca. Idealista, którego losy przypadają na I połowę XX wieku. Czasy, w których żył spowodowały, że ciągle był niszczone. Jednak podnosił się po kolejnych tragediach i robił swoje. Pełnometrażowa wersja filmu pt. „Mensch” będzie dostępna od przyszłego roku, ale już teraz można zobaczyć zwiastun filmu:

hasło: hirszfeld

Więcej informacji na stronie

festiwalu: <https://www.austinpolsishfilm.com/>

„Jutro czeka nas długi dzień” - zwiastun:

**Najważniejsza jest
historia**

Rozmowa z reżyserem Krzysztofem Langiem



Krzysztof Lang

Reżyserzy dzielą się na dwie kategorie: pierwsza to tacy jak Bergman, Fellini czy Has, którzy przez całe życie robią właściwie jeden film i druga, jak Spielberg, Altman czy Polański, których filmy są różne w zależności od tematu. Należę do tej drugiej kategorii reżyserów, dla których najważniejsza jest historia. Różnorodność gatunkowa moich filmów bierze się z różnorodności historii, które opowiadam.

Krzysztof Lang

*

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Jest Pan absolwentem Wydziału Chemii na Uniwersytecie Warszawskim. Jak to się stało, że zmienił Pan swoją zawodową drogę, idąc potem na Wydział Filmu i Telewizji

na Uniwersytecie Śląskim?

Krzysztof Lang:

O moim wyborze zawodu reżysera filmowego zdecydował moment, w którym, ponad czterdzieści lat temu, po raz pierwszy spojrzałem w wizjer kamery filmowej. Odniosłem wtedy wrażenie, że obraz widziany okiem kamery jest ciekawszy, że kryje się w nim jakaś tajemnica. Ta krótka chwila zauroczenia obrazem widzianym w kamerze zmieniła, *de facto*, moje życie. Byłem dobrze zapowiadającym się studentem chemii i droga do kariery naukowej stała przede mną otworem, a jednak siła tajemnicy i chęć zanurzenia się w nieznaną świat okazały się silniejsze. Myślę, że Kieślowski w filmie „Amator” mówi o czymś podobnym i dlatego ten film jest mi szczególnie bliski.

Moje próby w filmie amatorskim rozbudziły chęć kontynuowania przygody z filmem i ostatecznie rozpocząłem studia na Wydziale Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego jako pierwszy rocznik nowo otwartego kierunku. W czasie studiów moimi opiekunami byli - **Krzysztof Kieślowski** - film dokumentalny oraz **Edward Żebrowski** - film fabularny.

Po studiach trafił Pan do słynnego Zespołu Filmowego „X”. Kierownikiem artystycznym był wtedy Andrzej Wajda, a kierownikiem literackim Bolesław Michałek. To była

kuźnia talentów, powstało tam wiele wybitnych dzieł filmowych i telewizyjnych, które określa się mianem „kina moralnego niepokoju”. Jak Pan wspomina pracę w tym zespole?

Gdy 1981 r. otrzymałem propozycję zatrudnienia w Zespole Filmowym „X” Andrzeja Wajdy, wydawało mi się, że chwyciłem Pana Boga za nogi. Zespół „X”, obok Zespołu „TOR”, był przecież w tym czasie wiodącym zespołem naszej kinematografii.

Zarówno przywództwo artystyczne Zespołu, jak i grono moich starszych kolegów takich jak Agnieszka Holland, Feliks Falk, Ryszard Bugajski, Tomasz Zygadło czy Janusz Kijowski, tworzyło zgraną i ambitną grupę. Dyskusje nad scenariuszami w Zespole „X” osiągały poziom, o którym dzisiaj mógłbym tylko pomarzyć. Rytuał rozmów, w których reżyser przedstawiający scenariusz siadał naprzeciw pary Wajda-Michałek, przeszedł do legendy. Spotkania z Michałkiem i Wajdą jak i uwagi kolegów mobilizowały wszystkich, w tym i mnie, do większego wysiłku w pracy nad scenariuszem. W Zespole „X” uczyłem się kina na najlepszych wzorcach. W takiej atmosferze głupio było przychodzić z propozycją czegoś błahego. Po kilku miesiącach stażu w Zespole udało mi się w końcu przygotować scenariusz godzinnego filmu telewizyjnego, który w krótkim czasie został skierowany do produkcji.

Jaki to był film?

To był „REMIS”, który formalnie był moim debiutem fabularnym, ale jego kolaudacja odbyła się jedynie w telewizji, bez udziału choćby jednego członka Zespołu „X”. Stało się tak ze względu na stan wojenny, który niczym świeczkę, zdmuchnął wszystkie moje plany. Po odwołaniu ze stanowisk kierownictwa Zespołu jego członkowie postanowili się rozwiązać. Dopiero po dwóch latach od ogłoszenia stanu wojennego, udało mi się wreszcie zrealizować planowany wcześniej film, oparty o autentyczne wydarzenia.



Edward Lubaszeno w filmie „Remis” (1984), reż. Krzysztof Lang, fot. chomikuj.pl

„REMIS” to historia sędziego piłkarskiego, który przyjeżdża do małego miasta, gdzieś na Śląsku, żeby sędziować mecz czwarto

ligowych zespołów. Nie wie, że mecz jest sprzedany, a w jednej z drużyn gra jego syn, który wychowywał się bez ojca. Podczas meczu następuje konfrontacja ojca i syna. W finale syn ratuje ojca przed rozwścieżonym tłumem kibiców, który chce zlinczować sędziego.

Po zlikwidowaniu zespołu „X” rozpoczął Pan współpracę z Wytwórnią Filmów Dokumentalnych w Warszawie. To tu powstały nagradzane filmy dokumentalne, takie jak np. „Cienie” (1984) - poetycka relacja z wystawy „Warszawa walczy”, czy „Powstanie Warszawskie 1944” (1994) - pokazywane m.in. na francusko-niemieckim kanale ARTE. Czy, któryś z powstałych wtedy filmów dokumentalnych, jest Panu szczególnie bliski?

Myślę, że oprócz filmów, które Pani wymieniła ważny jest dla mnie „PROCES” (1990). Jest to film o procesie generała Tatara. Jego realizacja przypadła na okres przełomowy w latach 1988/1989 i miała momentami przebieg dramatyczny, wręcz sensacyjny. Film opowiada o kulisach głośnego procesu, związanego z tzw. spiskiem w Wojsku Polskim, który jak się okazało, był fikcyjny i posłużył władzy komunistycznej do rozprawy z oficerami, o lojalność których się ta władza obawiała.

Na film składają się rozmowy z bohaterami oraz materiały archiwalne, pochodzące przede wszystkim z Kroniki Filmowej lat

50. Jednak głównym materiałem, który stanowi oś opowiadania, były tzw. odrzuty z Kroniki Filmowej czyli materiały, które nie weszły do oficjalnej kroniki i skrzętnie ukryte, przeleżały w zakamarkach archiwum ponad czterdzieści lat. Poufnie zorganizowana projekcja tych materiałów, jeszcze w stanie wojennym, była punktem zwrotnym. Po obejrzeniu ich wiedziałem, że mam dokumentalny diament w ręku i nie mogę zmarnować danej mi przez los szansy.



General Stanisław Tatar podczas procesu, 1951 r., fot. Tygodnik „Świat” 1951 r. nr 3, źródło: wikipedia

Pod koniec realizacji udało mi się odnaleźć w Kijowie i namówić do rozmowy, jednego z głównych „reżyserów” procesu, pułkownika NKWD - Antona Skulbaszewskiego, odpowiedzialnego za śmierć wielu niewinnych oficerów. Rozmowa, a właściwie psychodrama, którą zarejestrowałem w

jego kijowskim mieszkaniu, do dzisiaj pozostaje jedynym świadectwem historycznym.

Realizacja „PROCESU” z wielu powodów była dla mnie doświadczeniem przełomowym. Uświadomiłem sobie, że podoba mi się takie „grzebanie” w historii i odnajdowanie jej nowego oblicza. Było to trochę jak odkrywanie nowych praw przyrody.

W tym okresie stale współpracował Pan też z Teatrem Telewizji.

Spotkania z wybitnymi aktorami takimi jak Gustaw Holoubek w „Księżu Homburgu” Heinricha von Kleista (za rolę w tym spektaklu otrzymał „Prix Italia”), Teresa Budzisz-Krzyżanowska w tym samym przedstawieniu, Zbigniew Zapasiewicz w kameralnej sztuce Idy Fink - „Stół” czy Janusz Gajos w „Brandzie” Henryka Ibsena rozwijały mój warsztat reżyserski, rozumienie konwencji, rytmu dialogu i w ogóle rozumienie słowa. Bez doświadczenia w teatrze telewizji nie rozumiałbym znaczenia pauzy ibsenowskiej czy konwencji komedii Moliera. Teatr Telewizji uważam za ważną część swojej drogi zawodowej.

W latach 90. przyszedł debiut kinowy „PAPIEROWE MAŁŻEŃSTWO”, komedia romantyczna, która okazała się wielkim sukcesem. Po niej wyreżyserował Pan jeszcze inne filmy tego gatunku, które stały się hitem - „MIŁOŚĆ NA

WYBIEGU", czy „ŚNIADANIE DO ŁÓŻKA”.

Usiłowałem zebrać budżet na film o Władysławie Mazurkiewiczu, ale żaden z producentów w tym czasie nie był skłonny inwestować w kryminał. Na rynku zapanowała natomiast moda na komedie romantyczne, które pokochała polska widownia. Nie widzę nic złego w kręceniu komedii romantycznych, ale takich, które nie grzeszą sztucznością sytuacji czy grubymi uproszczeniami psychologicznymi.

Jednak ani „MIŁOŚĆ NA WYBIEGU”, ani „ŚNIADANIE DO ŁÓŻKA”, choć zebrały sporą widownię, nie sprawiły mi tej satysfakcji co „PAPIEROWE MAŁŻEŃSTWO”. Nawet kilka udanych scen nie jest w stanie zmienić mojego stosunku do tych filmów. Wyrosły duchowo z obcego mi świata i pozostaną w moim dorobku jedynie jako praca reżyserska na zamówienie.



Olga Bołędź w filmie „Słaba płeć?” (2015), reż. Krzysztof Lang, fot. wirtualnemedi.pl

A jak było z kolejnym filmem „SŁABA PŁEĆ?”, który też miał być komedią romantyczną, ale ostatecznie nią nie był?

Bohaterką powieści „Suka” Katarzyny Grygi, na której oparty był scenariusz filmu, jest dziewczyna z prowincji, klasyczny „słoik”, która wskutek intrygi najbliższej przyjaciółki traci pracę w korporacji. Sztuczny, hipsterski świat rozpada się z dnia na dzień i bohaterka musi dokonać wyboru między być i mieć. Ten dylemat jest próbą jej charakteru, z której wychodzi zwycięsko.

W tej historii dostrzegłem szansę na gorzką opowieść o współczesnych trzydziestolatkach. W rezultacie powstał film, który zamiast być komedią romantyczną, jest raczej filmem

obyczajowym pokazującym w krzywym zwierciadle pokolenie trzydziestolatków zatrudnionych w korporacji.

Przy „SŁABEJ PŁCI?” współpracowałem z nominowanym do Oscara, angielskim operatorem, **Michaeliem Coulterem** – autorem zdjęć do znanych komedii romantycznych – „Notting Hill”, „Cztery wesela i pogrzeb” czy „To właśnie miłość”. Zysk ze sprzedaży biletów był na tyle przyzwoity, że w nagrodę dystrybutor postanowił zaryzykować dofinansowanie mojego filmu o Mazurkiewiczu.

No właśnie, niedługo przyjeżdża Pan do Austin z filmem o Władysławie Mazurkiewiczu „ACH, ŚPIJ KOCHANIE” (2017). Będziemy go pokazywać podczas Austin Polish Film Festival 2022. Ta wciągająca opowieść rozgrywa się w Krakowie w 1955 r. W filmie dokonuje Pan „wiwisekcji” stalinowskich mechanizmów władzy, dzięki którym bohater bezkarnie popełnia kolejne zbrodnie. Co Pana zainteresowało w tej historii?

Ktoś powiedział: „Każda zbrodnia jest zwierciadłem swoich czasów”. Film „ACH, ŚPIJ KOCHANIE” jest ilustracją tej tezy. Scenariusz opowieści osnutej na faktach, jest konfrontacją dwóch postaci – Władysława Mazurkiewicza – seryjnego zabójcy oraz tropiącego go milicjanta. Paradoksalnie przestępca przez swój wygląd, styl, sposób zachowania rozbudza w śledczym

głęboko skrywaną tęsknotę za wolnością, której symbolem jest świat Zachodu. Mazurkiewicz (w filmie Andrzej Chyra), niczym rajski ptak, wnosi powiew swobody i niezależności w szary świat prząsnętego socrealizmu. Tworzy iluzję lepszego życia, które do Polski dociera głównie w postaci kontrabandy z Zachodu i na falach radia Wolna Europa. „ACH, ŚPIJ KOCHANIE” to ważny film w moim dorobku. To film, który pozwolił mi na nowo odnaleźć się w kinie. Z jego realizacją wróciłem do zawsze interesującej mnie tematyki historycznej.



Tomasz Schuchardt jako porucznik Karski w filmie "Ach, śpij kochanie" (2017), reż. K. Lang, 2017 r.



Andrzej Chyra jako Władysław Mazurkiewicz w filmie „Ach, śpij kochanie” (2017) , reż. K. Lang

Kolejny film, który będzie pokazywany w tym roku podczas Austin Jewish Film Festival to „MARZEC 68” (2022). Widz śledząc losy bohaterów, mimo woli staje się częścią tej historii. Opowieść o młodej parze studentów, pokazana na tle strajków na uczelniach, ze słynną realizacją „Dziadów” Mickiewicza w reżyserii Kazimierza Dejmka w tle, porusza głębokie struny. Co Pana skłoniło do podjęcia tego tematu?

W marcu 1968 byłem w klasie maturalnej liceum im. Klementa Gottwalda. To głównie absolwenci mojego liceum a w tamtym czasie studenci UW tacy jak np. Janek Lityński byli zaangażowani w „wypadki marcowe”. Moja szkoła znajduje się w pobliżu Politechniki i my, uczniowie, biegaliśmy w Marcu pod mur tej uczelni i rzucaliśmy jedzenie strajkującym studentom. Byliśmy na styku tych wydarzeń w tamtym czasie, ale konsekwencje Marca

dotknęły wielu moich szkolnych przyjaciół. Bardzo dużo z nich wyjechało w rezultacie z Polski. Kiedy TVP zwróciła się do mnie z propozycją nakręcenia filmu o Marcu nie wahałem się, ponieważ uważałem, że taki film należy się tym, których zmuszono do wyjazdu.

Jakie tematy historyczne bierze Pan pod uwagę w kolejnych realizacjach filmowych?

Wraz z Andrzejem Gołądą pracujemy nad trzema tematami historycznymi.

Pierwszy to okres Powstania Styczniowego i jest to adaptacja połączonych dwóch opowiadań Iwaszkiewicza - „Heidenreich” i „Noc czerwcową”. Drugi temat to tzw. „rzeź Woli” - epizod znany z Powstania Warszawskiego, tym razem wojna widziana oczami dziecka. Ten drugi temat w pewien sposób nawiązuje do obecnych zdarzeń za naszą wschodnią granicą. Trzeci temat to tzw. „Złota odyseja”, historia złota wywiezionego w pierwszych dniach wojny. Ta wywózka zakończona, jak wiemy sukcesem, pozwoliła później sfinansować udział w wojnie naszych żołnierzy wyprowadzonych ze Związku Radzieckiego przez gen. Andersa. Wszystkie te trzy tematy to poważne przedsięwzięcia i pragnąłbym, żeby choć jeden z nich miał szansę na realizację w najbliższym czasie.

Patrząc na współczesne kino w Polsce i na świecie zastanawia, jak wiele powstaje filmów niepotrzebnych, wręcz szkodliwych, nie przekazujących żadnych wartości, pokazujących świat zdegenerowany lub wymaginowany, pełen sztucznego blichtru. Co zatem według Pana daje współczesnemu widzowi kino historyczne?

Chciałoby się powiedzieć trawestując Mrożka – „wczoraj to dziś tyle, że wczoraj”. Uważam, że przeszłość jest ważna, ponieważ pozwala spojrzeć na współczesność z dystansem. Wybieram te fragmenty z naszej historii, które odsłaniają nieznane do tej pory kulisy i pozwalają zbudować świat ludzkich relacji charakterystyczny dla danej epoki. Każde takie zetknięcie z przeszłością jest dla mnie lekcją, w której poszerzam nie tylko wiedzę historyczną, ale przede wszystkim zgłębiam psychikę bohaterów i buduję charaktery psychologicznie dopasowane do danej epoki. Ten proces mnie fascynuje i dlatego za każdym razem film historyczny jest dla mnie pretekstem do podróży w głąb ludzkiej natury.

Rozmawiała Joanna Sokołowska-Gwizdka

*

*

Więcej informacji na stronie

festiwalu: <https://www.austinpolishfilm.com/>



Zobacz też:

Klasztor miłosierdzia

Radość grania

Wywiad z Jakubem Kuszlikiem, laureatem IV nagrody i nagrody specjalnej za najlepsze wykonanie mazurków na XVIII Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Fryderyka Chopina.



Jakub Kuszlik, fot. Karolina Sałajczyk

Bożena U. Zaremba:

Od Konkursu Chopinowskiego upłynął rok i podejrzewam, że ten czas upłynął pod znakiem bogatej działalności koncertowej i nagraniowej, czy też obowiązków medialnych. Jak Konkurs zmienił Pana jako artystę i jako człowieka?

Jakub Kuszlik:

Z jednej strony po tym Konkursie zostało bardzo silne wspomnienie - czasami pozytywne, czasami negatywne związane

z ogromnym stresem i presją – które w jakimś stopniu wpływa na następne występy. Z drugiej strony na pewno świadomość tego, że moje interpretacje muzyki Fryderyka Chopina zostały docenione, dodaje mi pewności siebie w trakcie jej wykonywania, a dzielenie się nią z publicznością daje mi jeszcze więcej radości. Ale tak naprawdę to ciężko odciąć sprawy zawodowe od mojej osoby. Natomiast jeżeli mówimy o aspektach stricte wykonawczych, to ogrom pracy, który jest ciężki do ogarnięcia i kwestia tego, że bardzo często powtarza się wykonywane tego samego utworu otwiera nowe możliwości, żeby można go zagrać w inny sposób, żeby się nim trochę bardziej pobawić, żeby poszukać czegoś więcej.

Urodził się Pan w Bochni. To małe miasto mające niecałe 30 tys. mieszkańców o tradycjach kopalnianych. Skąd wzięło się Pana zainteresowanie muzyką klasyczną?

Małe, ale o bardzo ciekawej historii. W Bochni znajduje się jedna z najstarszych kopalni soli na świecie i razem z Wieliczką te dwa miasta przez wieki bardzo mocno napędzały gospodarkę Królestwa Polskiego. Natomiast jeżeli chodzi o moje zainteresowanie muzyką klasyczną, powiem szczerze, że moja historia jest bardzo prosta. Rodzice posłali mnie do szkoły muzycznej, bo wcześniej rozpoznali moje zainteresowanie muzyką. Jako mały dzieciak, robiłem sobie własne „instrumenty” muzyczne, np., perkusję z garnków [śmiech].

Powiedział Pan kiedyś, że zainteresowanie muzyką klasyczną nastąpiło przez Chopina. O ile oczywiście pamięta Pan wrażenia z dzieciństwa, jak porówna Pan odbiór jego muzyki przez małe dziecko a dorosłego człowieka?

To trudne pytanie, bo jako dziewięcioletek było mi pewno trudno myśleć w takich kategoriach. Na pewno chłonałem tę muzykę intuicyjnie, przez zmysły i po prostu postrzegałem jej piękno, w jego najczystszej postaci. Chopin był kompozytorem, którego muzyka najbardziej mnie pociągała i tak naprawdę przez pierwsze lata edukacji muzycznej słuchałem tylko Chopina. Miał ogromny wpływ na kształtowanie mojej wrażliwości. Natomiast teraz słucham jej z pełną świadomością.

Z Pana wypowiedzi wynika, że uczestnictwo w Konkursie nie było dla Pana oczywiste. Dojrzywał Pan i do tej decyzji, i do wykonywania jego muzyki.

Generalnie mówiąc moja droga z Chopinem jest dość wyboista. Muzyka Chopina w sensie wykonawczym zaczęła mnie pasjonować dosyć późno. Wszechobecność Chopina w Polsce może być na dłuższą metę męcząca i dużo pianistów ma z tym problem. Byłem chyba ofiarą tego fenomenu, który może być nawet szkodliwy, bo następuje „przemęczenie materiału”, a przecież na tej muzyce można się świetnie nauczyć wielu rzeczy.

Ona ma wartość nie tylko artystyczną, ale i pedagogiczną. Mam wrażenie, że stosunkowo niedawno wróciłem do tej muzyki. Podszedłem do niej na nowo, zacząłem szukać głębiej, postanowiłem odciąć się od wzorców, które znałem i do których jestem przyzwyczajony, i znaleźć bardziej indywidualny język. Myślę, że w moim przypadku była to jakaś metoda na sukces.

Co Pan ceni w muzyce Chopina?

Wiele rzeczy, ale przede wszystkim to, że jego muzyka jest bardzo szczerą, płynie prosto z serca. Chopin nie próbował się wpisać w jakieś mody, czy szablony, które w tamtych czasach istniały, tylko tworzył muzykę, która odpowiadała jego przekonaniom i w stu procentach oddawała jego emocje. Z drugiej strony, bardzo cenię to, jak wspaniale jest napisana warsztatowo. Osiągnięcia w dziedzinie harmoniki i zaadoptowanie polifonii na grunt muzyki stricte romantycznej są niepowtarzalne i szalenie frapujące.

Jury Konkursu przyznało Panu też nagrodę specjalną za najlepsze wykonanie mazurków. Wyraził Pan opinię, że „dla współczesnych ludzi, którzy nie mają do czynienia z rytmami mazura, kujawiaka lub oberka, uchwycenie taneczności tej formy jest bardzo trudne”. Dla nie-Polaka musi to być jeszcze większym wyzwaniem. W jaki sposób można pomóc wykonawcy uchwycić tę taneczność?

Tak, Polakom jest może łatwiej, bo, jak mówiłem muzyka Chopina jest wszechobecna – dużo się o niej mówi, dużo słucha i zajmuje ona dużą część edukacji, więc jesteśmy przyzwyczajeni do tego, jak te rytmy czy frazowanie powinno brzmieć. Tak, więc pod tym względem Polacy mają przewagę. Natomiast dla osoby z zagranicy może to być wyzwaniem. Najlepszą metodą jest obserwacja i słuchanie jak najwięcej dobrych wykonania. Także słuchanie oryginalnych tańców i przyglądanie się, jak te ruchy taneczne wyglądały. Kiedyś byłem na takiej świetnej adaptacji mazurków Chopina wykonywanych na instrumentach tradycyjnych, ludowych. Była też grupa taneczna, która te tańce wykonywała tak, jak kiedyś faktycznie wyglądały. Poprzez taką świadomą obserwację jesteśmy w stanie dużo się nauczyć. Nawet oryginalne stroje ludowe mogą być pewną formą inspiracji.



Jakub Kuszlik, fot. Karolina Sałajczyk

Dochodzi do tego kwestia pokoleniowa, bo dla współczesnych młodych ludzi taniec, w takim rozumieniu, jest czymś w ogóle trudnym do ogarnięcia.

Oczywiście taniec współczesny nie ma nic wspólnego z tańcem sprzed 100 czy 200 lat. To też jest przeszkoda. Ale chciałem zaznaczyć, że sporo tych mazurków, polonezów czy walców kompletnie nie nadaje się do zatańczenia. Trzeba pamiętać, że tańce w muzyce Chopina są stylizacjami i trzeba uważać, żeby ta taneczność nie zdominowała innych wartości artystycznych, jakie niosą te utwory - ich intymnego języka muzycznego, rozbudowanej melodyki czy w przypadku późniejszych dzieł

także ich inteligentnie zaplanowanej formy i rozbudowanej polifonii.

Porozmawiajmy trochę o Pana debiutanckiej płycie z utworami Brahmsa i Chopina. Utwory Chopinowskie to Mazurki z op. 30, Sonata h-moll op. 58 i Fantazja f-moll op. 49, czyli utwory, które zagrał Pan na Konkursie. Dlaczego akurat te kompozycje?

Muszę powiedzieć szczerze, że III etap Konkursu był dla mnie najłatwiejszy, czy może najbardziej oczywisty z punktu widzenia wyboru repertuaru, bo te właśnie utwory należą do moich ulubionych kompozycji Chopina. To była absolutna radość wykonywać te utwory i kiedy znalazłem się w III etapie, bardzo się cieszyłem, że w takim ważnym momencie mojego życia będę mógł właśnie je zagrać. Szczególnie chyba Fantazję i Sonatę h-moll, bo mazurki lubię wszystkie. Są one taką niesamowitą kopalnią świetnych pomysłów muzycznych. Zdecydowałem się na te z op. 30, bo wydawało mi się, że najbardziej będą pasować programowo do Fantazji i Sonaty. W tej muzyce czuję się znakomicie – uwielbiam jej skomplikowaną architekturę i zagadkowość, a próba ich rozczytania jest bardzo inspirująca.

A Brahms?

Moja fascynacja muzyką Brahmsa pojawiła się stosunkowo

późno, pod koniec liceum, ale jak już ją poznałem, to mnie całkowicie pochłonięła. Brahms ma przepiękną melodykę, panowanie nad ekspresją, a kulminacje w jego utworach powodują, że zawsze, kiedy ich słucham, dostaję gęsiej skórki. Nieoczywistość w jego utworach jest także szalenie intrygująca, szczególnie w późniejszych jego kompozycjach, które zdecydowałem się nagrać. Pod względem technicznym są to w sumie proste utwory, ale ponieważ tych nut jest mało, trzeba się niezmiernie starać, żeby stworzyć niesamowity, nietuzinkowy klimat. Odczuwałem nieopisaną radość, kiedy zacząłem pracować nad tymi utworami i dlatego zdecydowałem się umieścić je na płycie. W wyborze repertuaru na płytę chciałem też zaznaczyć, że twórczość Brahmsa była w pewnym stopniu inspirowana kompozycjami Chopina. Dowodem na to może być na przykład napisane przez niego w wieku siedemnastu lat Scherzo es-moll op. 4. Brahms też jest autorem np. transkrypcji Etiudy op. 25 No. 2 Chopina, którą w zasadzie przerobił na etiudę sekstową. Przez moje nagranie chciałem zwrócić uwagę na te powiązania.

Kiedy dostaje Pan tych dreszczy podczas słuchania muzyki - na żywo czy też odtworzoną w radiu, na płytach kompaktowych albo winylowych, które przeżywają ostatnio renesans?

Różnica w odbiorze jest gigantyczna, i nie jest to tylko kwestia

tylko mojego odbioru. Robiono na przykład eksperymenty, w których podawano jurorom Konkursu Chopinowskiego dokładnie to samo nagranie, którego wcześniej słuchali na żywo i ich oceny były diametralnie odmienne. Wydaje mi się, że słuchanie muzyki na żywo ma największą wartość. Wtedy powstaje taki indywidualny most między artystą a słuchaczem, tworzy się charakterystyczny klimat, którego tak naprawdę nie jest się w stanie oddać na płycie. Koncerty zawsze są największymi wydarzeniami dla mnie jako artysty. To one sprawiają, że chcę grać lepiej.

Przeszedł Pan przez kilku znakomitych pedagogów. Jak Pan powiedział w wywiadzie dla Polskiego Radia Chopin, prof. Olga Łazarska ze Szkoły Muzycznej II Stopnia w Krakowie dała panu fundamenty techniki pianistycznej i podstawy muzyki w ogóle, natomiast prof. Katarzyna Popowa-Zydroń z Akademii Muzycznej w Bydgoszczy pomogła Panu stworzyć „nadbudowę”. Czy mógłby Pan coś więcej powiedzieć o znaczeniu tych dwóch aspektów edukacji muzycznej?

Żeby wykonanie jakiegokolwiek utworu miało sens i było atrakcyjne dla słuchacza, oba aspekty są naprawdę kluczowe i niezbędne. Im wcześniej zacznie się opanowywać podstawowe umiejętności, tj., odpowiednie zrozumienie stylu, umiejętności frazowania czy kwestie związane z biegłością gry na

instrumencie, tym artysta ma potem większą swobodę, żeby móc pracować nad tym drugim aspektem. O nich trzeba zawsze pamiętać zwłaszcza w momencie, kiedy zaczynamy łamać zasady i szukamy bardziej indywidualnego języka muzycznego. Są to oczywiście lata praktyki i mozolnej pracy i ludzie, którzy jadą na Konkurs Chopinowski mają te dwa aspekty w bardzo mocnym stopniu rozwinięte. Bez tych podstaw uczestnictwo w tym Konkursie jest praktycznie niemożliwe.

Czy jest Pan tradycjonalistą, czy też ciągnie Pana do zerwania z zasadami?

Wydaje mi się, że nie da się grać idealnie według zasad, bo wtedy wszyscy gralibyśmy w jednakowy sposób. Byłoby to strasznie nieatrakcyjne i nieciekawe. Cała idea koncertu, występu na żywo straciłaby sens. Jestem najbardziej za tym, żeby eksperymentować, jednocześnie pamiętając o tym, że kompozytor miał jakiś zamysł, żeby jego utwór brzmiał w taki, a nie inny sposób, więc trzeba mieć do tego szacunek. A więc eksperymentować, ale z szacunkiem.



Jakub Kuszlik, fot. Karolina Sałajczyk

Proszę powiedzieć coś o pianistach, którzy byli i są dla Pana inspiracją.

To temat rzeka! Czerpanie inspiracji, obserwowanie jest bardzo ważnym elementem edukacji artystycznej i także elementem rozwoju dojrzałego artysty, na tym etapie może nawet ważniejszym niż lekcje i ćwiczenie. Nie mówię, że one nie są ważne, ale taka obserwacja potrafi dużo zmienić. Staram się słuchać szerokiego grona artystów. Nie ograniczam się do kilku nazwisk, raczej szukam najlepszego wykonania danego utworu, które najbardziej mi odpowiada z takich czy innych względów. Czasem jest to nawet kwestia tylko poszczególnych fragmentów.

Na przykład u Kristiana Zimermana cenię sobie jego poczucie humoru. Jest on pod tym względem ewenementem na arenie międzynarodowej. U Marthy Argerich podziwiam szczerość wyrazu, spontaniczność i żywiołowość. W jej wykonawstwie jest magia. Podobne wrażenie mam w stosunku do Seong-jin Cho, zwycięzcy przedostatniego Konkursu Chopinowskiego. A u [Grigorija] Sokołowa fascynuje mnie zwłaszcza jego wykonania utworów Jean-Philippe Rameau. Uwielbiam jego artykulację i ozdobniki, które wykonuje z niezmierną precyzją, a poza tym jego umiejętność tworzenia niesamowitego klimatu i pomysłowość jego interpretacji są bardzo oryginalne i jedyne w swoim rodzaju.

Niedawno powstał film pt. „Chopin. Nie boję się ciemności” z udziałem trzech międzynarodowych pianistów, który pokazuje, jak muzyka klasyczna może zmieniać, albo przynajmniej próbować zmieniać świat. Czy według Pana muzyka powinna spełniać jakieś wyższe cele oprócz czystej sztuki czy rozrywki?

Odpowiedź na to jest dość jasna. Jeżeli spojrzymy na historię muzyki, to już w starożytnej Grecji muzyka spełniała gamę różnych ról – edukacyjną, resocjalizacyjną, czy też była medium do przekazywania myśli filozoficznych. W dzisiejszych czasach istnieje coś takiego jak muzykoterapia, czyli muzyka spełnia rolę terapeutyczną. Gdy się źle czujemy i chcemy sobie poprawić

humor, puszczamy sobie jakiś utwór muzyczny. Podobna kwestia z muzyką rozrywkową. Warto też dodać, że niektóre piosenki potrafiłyby być nośnikami idei czy sprzeciwu przeciwko porządkowi świata.

Czy słucha Pan muzyki jako tło, czyli tzw. „background music”?

W czasach szkolnych, tak – puszczałem sobie muzykę Bartoka czy Ravela, bo mnie bardzo wtedy interesowała, jednocześnie ucząc się albo po prostu robiąc coś innego. Potem przestało mi się to podobać, może dlatego, że nie byłem w stanie się skupić na niczym. Kiedyś czytałem opracowanie naukowe, że muzyka może właśnie w taki sposób działać na wykształconych muzyków. Teraz staram się usiąść, założyć słuchawki na uszy i skoncentrować się na słuchaniu.

*

Angielska wersja wywiadu jest dostępna na stronie Chopin Society of Atlanta, które przyznało Jakubowi Kuszlikowi specjalną nagrodę dla najlepiej uplasowanego polskiego uczestnika Konkursu Chopinowskiego:

<http://chopinatlanta.org/jakub-kuszlik-interview-2022.html>

Recitale Jakuba Kuszlika w Stanach Zjednoczonych jesienią 2022 r:

**5.11. Paderewski Festival, Park Ballroom, Paso Robles,
Kalifornia**

**6.11. Colburn School of Music, Thayer Hall, Los
Angeles, Kalifornia**

11.11. Polish & Slavic Center, Brooklyn, Nowy Jork

19.11. , Atlanta, Georgia

Oficjalna strona artysty: www.jakubkuszlik.pl

Zobacz też:

Chopin zdobywa Atlantę

Adam na Księżycu. O polskiej przeszłości i literaturze z perspektywy australijskiej.



Adam Fiala, fot. Andrew Fiala

Z pisarzem Adamem Fiałą rozmawia Teresa Podemska-Abt

Rozmawiamy ze sobą mailowo dwa lata. Pora na uporządkowania. Wyszło na mnie, bo Pan, o dziwo (!) i jak sprytnie (!), nie używa komputera. Zacznijmy od życia w Polsce. Jest Pan dzieckiem Lublina?

Moje 'bio' nie jest specjalnie skomplikowane. Tak, pochodzę z Lublina. Dziadkowie ze strony ojca żyli w Starym Samborze, niedaleko Czarnobyli. Dziadek Fiala był z pochodzenia Czechem lub Włochem. Dziadkowie ze strony Matki mieli nazwisko Kultys. Członkowie dalszej rodziny pojechali kiedyś na Litwę i ustalili, że Kultysi byli zubożałymi księżętami i pracowali na roli, co traktowałem jako dobry dowcip. Moja matka była pomocnikiem

księgowego w RUCHU. Jako emerytka malowała ręcznie dewocjonaia dla Ars Christiana. W odróżnieniu ode mnie była bardzo religijna i nazywała swoją pracę malarstwem precyzyjnym. Ojciec, prawnik, był początkowo dyrektorem Poczty i Telegrafów województwa lubelskiego, a później - adwokatem. Fiala nie jest w Polsce popularnym nazwiskiem. Rodzice wzmiankowali o pewnym panu Fiali, który nie był z naszej rodziny, ale był przedwojennym szefem bezpieczeństwa. W jakimś czasie szkolnym nazywano mnie wrogiem klasowym i rozumiałem, że to było dwuznaczne. Śladem Ojca, poszedłem na prawo w Lublinie, po którym, a był 1963 rok, zostałem radcą prawnym. Pracowałem na prowincji na wielu półetatach i „ćwiartkach radcowskich”. Po dwudziestu latach takiej pracy z Polski wyjechałem.

A kiedy zaczął Pan pisać? Pisać literacko, oczywiście, bo nie pytam o listy, choć „ludzie listy piszą” zwykle i niezwykle jak *Wariacje pocztowe* Brandysa albo *Julia*, czyli *Nowa Heloiza* Rousseau.

Listy piszę od dziecka, jak wszyscy kiedyś. Wiersze pisywałem na studiach, ale jakby w stylu prozatorskim, bez metafor i ozdobników. Po latach znalazłem, że w podobnym stylu pisał w Los Angeles nieżyjący już Charles Bukowski. Moim ideałem ze względu na klarowność jest też Herbert, czasami jego wiersze są takimi mini nowelami poetyckimi, czyli - moim ideałem. Kiedy

miałem ze dwadzieścia trzy lata, debiutowałem w *Kamencie* tak zwanymi krótkimi formami, które puszczano w dodatku dla młodych pisarzy. Moich wierszy nikt nie chciał publikować, więc wziąłem się za prozę i mając ze dwadzieścia pięć lat, napisałem – jak to określono w krytyce promocyjnej wydawnictwa *Iskry* – powieść eksperymentalną: *Jeden myśliwy, jeden tygrys*. Był to luźny zapis; odbiegał od tradycyjnie skrojonej prozy. Redaktorzy się obawiali, że nie znajdzie czytelników, ale było odwrotnie. Próbowałem nawiązywać w tej prozie do książki *Buszujący w zbożu* Salingera. Nie wiem czy mi się to udało.

***Kamena* to z doskonały start pisarski. Przypomnijmy, czasopismo ukazywało się już przed wojną, początkowo lubelskie, później ogólnopolskie, działało do 1993 roku. *Kamena* mierzyła wysoko i w swej historii miała wielu wybitnych współpracowników: Józefa Czechowicza, Józefa Łobodowskiego, Edwarda Stachurę, Władysława Broniewskiego, Tadeusza Bocheńskiego, a także Juliana Tuwima, Juliana Przybosa, Mieczysława Jastruna. Kogo Pan wspomina ze swoich w niej czasów? Czy zadomowił się Pan w niej tylko dlatego, że miała siedzibę w Lublinie?**

Kamena była „pod ręką”. To zdawało się sensowne, żeby akurat z nią się związać. Była pismem z dużymi tradycjami i znakomitymi nazwiskami. Kazimierza Jaworskiego nazywano Kajem, zaś syna Marka Majem: prywatnie pisywałem o nich fraszki. Redakcję i

zespół czasopisma tworzyli wspaniali ludzie. Pamiętam Marię Bechczyc-Rudnicką, autorkę prozy zatytułowanej *Malerza raweńskiego owieczek dwadzieście* wzorowaną na włoskich legendach z XVI wieku. Bardzo nas to anarchizowanie Pani Marii wtedy bawiło. Była znaną tłumaczką. W młodości była arystokratyczną damą tańczącą na dworze ostatniego cara, ale wcale jej to nie przeszkodziło zostać w PRL-u naczelną redaktorką. Była niezwykle żywotna: dobrze po dziewięćdziesiątce, w czasie stanu wojennego, samodzielnie wyjechała na wycieczkę do Paryża. Krążył o Niej taki absurdalny dowcip, że gdyby zapisywała się do WRON'u, spytałaby z pewnością czy trzeba będzie płacić składki członkowskie.

Ja natomiast wspominam pierwsze honorarium, jakie otrzymałem z *Kamieny*, bo dla studenta kilkadziesiąt złotych w owych czasach to bajka. Było wtedy modne powiedzenie: „Student żebrak, ale Pan”. Bardzo żałowałem, że *Kamień* się skończyła. Na początku mojej drogi w *Kamieniu* myślałem o wierszach, lubiłem formę, ale nie to im się podobało. Moich wierszy w *Kamieniu* nie lubiano, ale na szczęście (!) ceniono prozę. Mówiono: „Fiałę się czyta”. W *Kamieniu* ludzie rozumieli, że widzę Polskę Ludową jako kopalnię ciekawostek obyczajowych. Byli oczywiście dużo lepsi ode mnie, jak Sławomir Mrozek, ale wtedy nie szło o rywalizację; wtedy wielu polskich pisarzy i poetów tworzyło w podobnym duchu. Często motywacją do pisania była ówczesna sytuacja polityczna, paradoksy społeczne, absurdy tamtego życia, a w

końcu sprzeciw i potrzeba artystycznego wyrażenia go, może zakamuflowania nim, pisaniem znaczy, niezadowolenia, no i oczywiście – chęć tworzenia.

Pisanie i upublicznienie własnego głosu także? Był Pan wtedy ambitny? Miał Pan przecież być prawnikiem, nie pisarzem.

Tak. I jedno i drugie. Myśleliśmy, że razem możemy coś zdziałać, ale chyba nie do końca mieliśmy w tym rację, bo państwo ludowe czuwało i choć w pewnym sensie było mecenasem, to wiele osób musiało wybierać, żeby omijać cenzurę. Moją ambicją nie było zostać prawnikiem, na ten kierunek naciskał mój Ojciec, mnie bawiło i pochłaniało obserwowanie życia, a że było dziwaczne, to i dziwacznie o nim było pisać i pisałem.

Z tą cenzurą w Pana przypadku nie było aż tak źle, bo w latach siedemdziesiątych, gierkowskich, minionego stulecia był Pan już autorem kilku wydanych książek: w 1976 roku ukazała się mikropowieść, którą Pan wspomniał, *Jeden myśliwy, jeden tygrys*, w 1978 - *Sprawy rodzinne*, a w 1979 - *Zygzakiem po prostej*. W 1979 roku czytelnik otrzymał też Pana opowiadanie: *Termiterium wisielców*. Krytyka literacka tamtego czasu zarejestrowała Pana jako pisarza ironicznego, skupionego na detalu. I istotnie, we wszystkich wymienionych tytułach odczytujemy autoironię

bohatera i satyryczno-ironiczną reprezentację rzeczywistości.

Z cenzurą było różnie. Mój debiut w PRL'u nie należał do brawurowych, ale fakt, zdobyłem w tamtym czasie pewną popularność. *Termiterium wisielców* opowiadało o ludziach mieszkających w tzw. socjalistycznym „mrowiskowcu” z prefabrykowanych płyt betonowych. Oni kochali teatr, zwłaszcza ten w TV polskiej. To co się działo wtedy i w tych mrowiskowcach było teatrem, stąd był mój zamysł na ten tekst. Wszystkie książki (siedem) wyszły w ćwierć milionowym nakładzie. Henryk Bereza poświęcił mi artykuł zawarty w swojej książce krytycznej, tytułu nie pamiętam, nie wiem nawet czy On jeszcze żyje. Pisał o mnie także, później chyba nieco, Emil Biela, któremu posyłałem długie listy pełne wrażeń z Australii, plus malunki i szkice miniaturowe, a On w rewanżu przesyłał mi wycinki z prasy literackiej w Polsce. Ostatnio pisze o mnie Pani, co poczytuję za dla mnie ważne, bo podoba mi się jak Pani pisze i widać w tym nie tylko warsztat akademicki, ale literacki i krytyczny talent pisarski. Dziękuję.

Miło, że tak Pan widzi moją pracę. Henryka Berezę przez jakiś czas czytywałam w *Twórczości*, jeszcze tu w Australii.

Dzięki Niemu zaistniałem. Zawsze mnie zaciekawiał. Mam pamięć do twarzy, a Bereza przypominał mi fizycznie Witkacego.

Poza tym pamiętam Go dobrze, bo mówił niezwykle oszczędnie i cicho. Raz się z nim spotkałem w jego mieszkaniu koło Pałacu Kultury, na wódce, którą mnie częstował. Twierdził wtedy, że pod jego mieszkaniem znajduje się ukryty warsztat, który pracuje w pewnych momentach i bardzo sprytnie się wycisza. Dało mi to do myślenia, ale o nic nie wypytywałem. Wiedziałem, że Bereza bardzo lubił dziwnych pisarzy i zastanawiało mnie dlaczego mną się interesował, bo ja sam uważałem się za średnio dziwnego. Do jego ulubionych autorów należał Jan Dżerdżon z pochodzenia Kaszub, który pisał tak dziwne rzeczy i takim sposobem, że włosy na głowie stawały.

W którymś wywiadzie Bereza powiedział, że rozpoznał u Jana Dżerdżona „najwyższe wartości literackie”. Nie jest tajemnicą, iż Bereza szukał w literaturze *nowego*, więc myślę, że chodziło Mu o nieschematyczność manifestującą się nie tylko mityzacjami i obecnością „snu” w prozie Dżerdżona, ale umiejętnym zacieraniem granicy między różnymi stanami i treściami życia. Obu łączyło zainteresowanie twórczością dla dzieci. Czytałam, że Bereza dobrze tańczył, był muzykalny i podobno doskonale pływał. Lubił być kontrowersyjny. Te Jego zalety prowadzą w kierunku Pana postaw i prozy, bo nie zabiega Pan o sławę, a nawet, jak w wierszu *mam*, chcąc „tworzyć tworzyć tworzyć/dla własnej/ we własnej/bańce mydlanej”, Pana podmiot „kocha pisanie do szuflady”. Poza tym, cechuje

Pana upodobanie do codziennego sportu, a Pana bohater do niczego nie zmierza, czyli reprezentuje to, co Bereza kiedyś ogłosił jako „koniec romantycznej tradycji” w naszej literaturze. Pana bohater to obserwator, poddający się, niemalże biernie, biegowi wypadków i rzeczywistości, biorąc z niej co się da.

Bereza miał udział w moim debiucie, a moim szczęściem, było, że znalazł we mnie oryginała. W zasadzie, powinienem się cieszyć, że mi to w ogóle wydali. Oczywiście, zadowolony byłem, bo co innego miałem do roboty. Cechuje mnie to, że od małego uprawiam kilka dziedzin sztuki i one mi się łączą. Zdaję sobie sprawę, że budzę pewne kontrowersje u ludzi, a niektórym zdecydowanie nie leżą. Moja proza jest jaka jest, a bohater jest zwyczajnym człowiekiem. Nie zawsze jest to bohater powieści, raczej tekstu, który w danym momencie piszę. Obojętne mi są kategoryzacje gatunkowe i wszelkie dyskusje o narracji. Niech się krytycy trudzą, ważne, aby było czym.



Adam Fiala, fot. Andrew Fiala

Zeby krytycy się trudzili, przy okazji - Henryk Bereza odszedł w 2012 roku, musi Pan publikować lub używać siły „linków”, mówiąc językiem komputerowym. Szkic, który Pan wspomina, pochodzi ze *Sposobu myślenia*, wydanego w 1989 roku. W tomie *O prozie polskiej* krytyk pisze, że Pana debiutancka powieść jest „na niby, ale ta niby-powieściowość jest (...) znakomicie umotywowana. (...) Chodzi bowiem o przenikliwe widzenie codzienności życia, o prześwietlenie jej charakteru i wymiaru”. W *Codzienności* krytyk interpretuje *Zygzakiem po prostej*,

twierdząc, że Pana narrator „jako osobowość jest funkcją nieskończoności powszednich działań, których kresem może być tylko śmierć”. Pana proza „jest opisowa, jak powieści niektórych osiemnastowiecznych pisarzy angielskich, (...) nie ma w niej nic poza czystym opisem zachowań społecznych ludzi w określonych historycznie układach rzeczywistości społecznej, nie ubarwia się tych opisów niczym, komentuje się je z rzadka (...), są to opisy, których prawda i literacka sugestywność biją w oczy”.

Kwintesencją Berezowskich analiz jest wypowiedź na temat *Kiedy święci maszerują*, odtwarzającą „zbiorową chorobę”, a „[p]rzewrotność [utworu], polega na tym, że narrator występuje jak gdyby w roli entuzjasty turystyki (...)” i ma „pretensje do wycieczkowego pilota, że uchyła się od biegów od bazyliki do bazyliki i od podziwiania rewii „maszerujących świętych” (...). Krytyk uznaje, że powieść „jest finezyjnym studium znamienego społecznego obłędu naszych czasów”. Przypomnijmy, narracja zasadzona jest na motywie podróży, cechują ją opisy ludzkich zachowań, a krytykuje Pan konsumeryzm, swoiste opętanie współczesnego człowieka i społeczeństw. Jak Pan tę Berezowską recepcję Pana utworów wspomina z perspektywy czasu? Czy tak Pan chciał, żeby były odczytane? Czy miał rację albo czegoś nie „wyczytał”, coś pominął, co było Pana zamiarem?

Jeden myśliwy, jeden tygrys był istotnie rzetelnym, a równocześnie osobliwym, zapisem rzeczywistości. Wypowiedzi, które Pani przytacza mnie zaskakują, ale głównie dlatego, że pisząc to nie miałem koncepcji powieści. Mój „art” był w jakimś sensie podświadomy. Jednym, a istotnym dla tych cytacji słów, jest słowo „zapis”. Kiedy byłem uczniem zachwyciałem się Charlesem Dickensem, szczególnie „Klubem Pickwicka”. Henryk Bereza prawdopodobnie nie wiedział, że moim ulubionym polskim pisarzem był Miron Białoszewski jako prozaik. Jego *Pamiętnik z Powstania Warszawskiego* czytałem kilkanaście razy i nawet przywiozłem go do Perth, więc nigdy się z nim nie rozstałem. Mam taką teorię, że nawet, jeżeli nie czytam określonych książek, a one fizycznie istnieją obok mnie, w mojej bibliotece, to tak jakby ciągle były we mnie i ze mną. Bawiło mnie, że tak skomplikowaną społecznie i politycznie sprawę jak Powstanie można było ująć tak lekko, jakby ktoś spacerował po parku. Myślę, że Białoszewski patrzył na Powstanie oczami dziecka i ten sposób zapisu szalenie mi się spodobał. Ze słyszenia wiem, że inni krytycy niezbyt sympatycznie patrzyli na moje powieści i może w pewnym sensie mieli rację, bo ja właściwie nie lubię powieści, nie lubię tej konwencji. Powieść jest zagadana, dlatego napisałem tysiące aforyzmów. Pisałem zawsze tak jak rysuję i maluję, czyli spontanicznie, choć oczywiście nie tylko tak, ale nigdy nie wiem co mi wyjdzie nie tylko w finale, ale w całym procesie tworzenia.

Dziecko widzi i słyszy inaczej niż dorośli, bo nie jest „skrzywione” edukacją, dziecko mówi prosto, jego postrzeganie jest autentyczne, ale ja narrację *Pamiętników* określiłabym jako „spiętrzenie strzępów” mowy. Naturalnie celowe, bo obrazujące sytuację: w natłoku zdarzeń i zagrożenia śmiercią nie ma czasu na normalność, zatem na budowanie kunsztownych zdań. Z drugiej strony, język *Pamiętnika* to „gadanie”, tyle, że nie o byle czym, a o katastrofie i (prze-)życiu zapisanym „mową więzi ulicznej” Warszawiaków. Więc, dla mnie to mowa słyszana w tramwaju, na ulicy, w kolejce. Tak o wojnie mówiło pokolenie moich Rodziców, a mój Ojciec - o swoich potwornych przeżyciach w Auschwitz i Buchenwaldzie. Oni mówili jakąś „niedo-mową” pełną pauz i napięcia. Podobnej ekspresji używa młodzież, gdy opowiada o podwórkowych bójkach, wypadkach, zaskakujących sytuacjach. Innymi słowy, mówię tu o języku ruchu i emocji, gdzie słyszę gorączkowość, falstart, emocjonalnie zapamiętane daty. U Białoszewskiego napięcie i strach zamykane są lub poskramiane śpiewem i żartem, co na przykład ma miejsce, gdy bohaterowie są w schronach. Wie Pan (?), Białoszewski uważał, że „pisanie nie może zjeść mówienia”, bo „to z napisanego - jest potem mówione na głos”. W *Pamiętniku* realizuje tę poetykę, mamy tam coś w rodzaju transkrypcji autentycznego ustnego dokumentu doświadczenia zbiorowego różnych grup, przy czym mówi

nie tylko Miron, ale miasto. Niedawno obejrzałam oratorium napisane na bazie *Pamiętników*, z muzyką Mateusza Pospieszalskiego, w reżyserii Jerzego Bielunasa. Czas przedstawienia - jak w relacjach Białoszewskiego - nie szedł łatwo, był lekcją do przeżycia, czasem emocji i dramatu. Jeśli Pan tego widowiska nie oglądał, polecam, zrealizowano je w 2009 roku i jest dostępne w Internecie.

Zobaczę co to jest, bo ten język w *Pamiętniku* jest dla mnie taki ważny dlatego, że Białoszewski o dramatycznych sprawach potrafił napisać tak jak o jedzeniu klusek, czy kapuśniaku. Ja się na literaturze nie znam tak jak Pani, ale ja ją czuję.

Bawi mnie fakt, iż ciągle pisze Pan na mechanicznej maszynie, a emaile do mnie dyktuje Pan Annie, żeby mi je szybko dostarczyła! Właściwie rozmawiamy ze sobą dzięki wspaniałomyślności pańskiej żony. Nie krępuje Pana brak niezależności? Nie ufa Pan kartce elektronicznej? Internetowi?

Maszyna do pisania ma duszę. Czcionki się odbijają w różny sposób, charakterystyczny dla danego egzemplarza. Wiadomo co jest oryginałem, a co kopią. W komputerze tego nie ma. Stukot maszyny inspiruje mnie w większym stopniu niż klikanie. Wszystkie moje teksty w Polsce pisałem od razu w trzech egzemplarzach. Ja nie chcę być nonsensowny, ale podobno

Mozart pisał swoje utwory od razu i bez skreśleń: ta idea bardzo mi się spodobała. W domu nie mam PC, bo mam coś w rodzaju studia muzycznego, które zajmuje trochę miejsca, ale też studio to instrumenty i dźwięki, a komputer to akustyczna niemota. Elektronicznej kartce i temu tak modnemu dziś systemowi internetowemu ufam choćby dlatego, że to jest jedyna szansa, żebym się choć troszkę wychylił na świat. Jestem słaby w technologii, być może w związku z moim podeszłym wiekiem, ale Internet według mnie jako źródło przekazu daje rzecz najważniejszą - niezależność. Nie daje niezależności fakt, że komputera dla mnie używa Anna. Pani ma lepiej, bo jest niezależna.

Zawsze można powiedzieć, że Pan ma z tego korzyść mediumiczną i w tej samej chwili ma Pan kontakt z Anną i ze mną, czyli sprytnie wykorzystuje Pan „towarzyski” potencjał komputera! W moim życiu komputer, wcześniej procesor, jest od ponad trzydziestu pięciu lat. To moje pióro, katalizator, komunikator, poczta, biblioteka, archiwum, odbiornik. Mój osobisty współczesny wielomedialny Golem, który mogę włączyć i wyłączyć na własne życzenie (jak to zrobił Lem z Golemem XIV). Przejdźmy do tematu twórcy i jego pracy. „Twórca” to określenie jednocześnie magiczne i kłopotliwe. Ryszard Krynicki, zapytany (to spotkanie wrocławskie z Nim ciągle pamiętam, był rok chyba 1980) „jak tworzy”, powiedział: „a

chodzę sobie, tak chodzę wkoło stołu lub po plaży i wymyślam". Jak Pan odpowie na to pytanie? Co jest Pana „motorem”? To rodzaj wewnętrznego przymusu? Niepokój, pasja? Co każe Panu tworzyć? Zaczyna Pan od gotowej koncepcji? Czy może szuka Pan tego w trakcie aktu twórczego? Jak to z Panem, Pana malowaniem, rysowaniem, pisaniem jest? Chodzi Pan? Siedzi? Pisze automatycznie w nocy? Znane jest Panu „nicnierobienie” Białoszewskiego?

Moja sztuka wynika z wewnętrznego przymusu, który mi dyktuje jak poruszać ręką i czy i jak układać słowa. Nie jest dla mnie ważne czy to ma być arcydzieło czy będzie to miało wartość materialną. Cechą moją jest niesamowita systematyczność. Potrafię codziennie malować czy rysować tylko przez godzinę, ale paradoksalnie pracuję przez całą dobę, bo mam przy sobie zawsze skrawek papieru. Notuję myśli nawet w środku nocy i spokojnie dalej zasypiam. W ten sposób zbiera mi się więcej prac niż artystom, którzy tkwią całymi dniami, czy nocami przy sztalugach, ale robią to nieregularnie. Identycznie jest z pisaniem i z muzyką. Z papierem się nie rozstaję. W plecaku, który jest moim „znakiem firmowym”, mam zawsze papier i długopis. Dlatego w każdym miejscu mogę zapisać fragment wiersza czy piosenki. Ponieważ żyję skromnie i nie mam pracowni, „art” chowam pod szufladami szaf, zaś rękopisy trzymam w dwóch dużych torbach turystycznych. W ten sposób

unikam słynnego pisanie do szuflady tak podobno
znienawidzonego przez wszelkiej maści twórców, ponoć za
ostrzejszej komuny polscy pisarze w kraju pisali do szuflady. Jak
nastąpiła odwilż po Gomułce polecono im je otworzyć. No i co?
Były puste. Zamysł czy koncepcja potrafi mi się zrodzić na długo
przed pisaniem czy malowaniem i nabiera mocy jak wino.
Czytałem, że Henryk Sienkiewicz, który miał słaby wzrok,
obmyślał swoje utwory na polowaniach. Czasami mam gotową
koncepcję tego co rysuję, czy piszę, ale w trakcie działania
najczęściej ulega ona zmianom, bo dodaję spontanicznie jakieś
nowe elementy. W odpowiedzi na żart o Krynickim i
Białoszewskim nie zawsze chodzę i zawsze coś robię.

Pewnie nawet jak Pan leży, jak u Białoszewskiego: „takie
leżenie-my lenie jak ja lubię/ to jest niedobre z natury/ bo
niech ja w naturze/ tak sobie leżę-myślę/ to zaraz napadnie
mnie coś i zje”. Dobrze, to wiemy już jak Pan tworzy i leży,
a brakuje Panu czegoś, kogoś? Plaże i ocean to jedno z
pańskich oczarowań Australią i zachwyków przyrodą, o
czym czytam w autotematycznym wierszu *Australijskie
fascynacje Adama*, ale w: *Plaży*, podmiot mówi: „Polskie
morze wydawało mi się/ bardziej nostalgiczne niż Ocean
Indyjski/ (nawet mewy miały inny głos)/ Droga między
rajem i krajem/ Jest długa”, a w „Paradoksie” czytamy: Jest
taki paradoks/ że Polskę wyczuwa się lepiej/ będąc za
granicą/ Iwaszkiewicz pisał swoje/ *Podróże do Polski*/ w

hoteliku w Wenecji/ (...)/ Miłosz dostał Nobla/ za spojrzenie na kraj/ z zewnątrz/ Wańkowicz i Kuncewiczowa/ wyczuli, że życie w PRL-u/ nie jest znowu/ takie koszarne/ oficjalnie/ i wśród czytelników/ odnosili sukcesy". Więc jak to jest? Tęskni Pan za Polską? Za czymś specyficznie? Starymi drzewami, lasami, plażami, miastami? Ma Pan tam kogoś bliskiego? Utrzymuje pan kontakt z kimś ze środowiska, z którego Pan wyszedł?

Oczywiście tęsknię, tęsknię za babim latem jesienią, dymami na polach po kartofliskach, ciągle widzę obraz Chełmońskiego przed oczami..., i za skrzypiącym śniegiem migocącym w słońcu, czytałem taki ładny Pani wiersz o tym, i – przede wszystkim – za bardzo świeżą wiosenną zielenią. Ja mam Polskę w pigułce dzięki „Wydarzeniom” w TV Polsat, ale czasami bardziej niż treść tych audycji interesują mnie polskie drzewa, alejki, parki, stare dworki, które przy jakiejś okazji pokazują. W tej dziedzinie korzystam również z Internetu. Tutaj nie ma tej świeżości zieleni co tam. Wiosna wybucha w buszu jedynie masą drobnych kwiatów. Jeżeli chodzi o miasta to tęsknię za czymś drobniejszym, jak Kazimierz Dolny nad Wisłą. Także Lublin. Najmniej tęsknię za Warszawą, pomimo że przebywałem w niej kilkanaście lat. Przed oczami mam ciągle, zwłaszcza we snach, omszały pomnik radzieckich żołnierzy, tzw. „Śpiących” na Pradze. Moja nostalgia nie jest groźna, bo w Polsce rodziny już nie mam, ta bliska mi wymarła. Inna rzecz, że być może upływ czasu i

moje ironiczne usposobienie przerwały moje kontakty z Polską. Jest wyjątek, bo dobrze ciągle się porozumiewam z poetą Grzegorzem Zienteckim, byłym dalekomorskim marynarzem, lublinianinem z pochodzenia. Nauczyłem się od Niego pisać haiku i mam ich w tej chwili około czterystu, a ciągle „produkuje”. Zientecki bardzo lubi moją sztukę, dlatego ciągle mu coś posyłam w podarunku. Ostatnio z Henrykiem Rejem, nie z Nagłowic, ale z Tych, wydaliśmy w Polsce wspólnie książkę *Head made*, z Jego aforyzmami i moimi ilustracjami. Oczywiście jest w kraju mój wydawca, Mieczysław Mączka z *Miniatury*, którego cenię za humor i ironię zbliżoną do mojej. Muszę dodać, że dzięki pewnej Pani Teresie Podemskiej krąg moich znajomości odżywa i jakby się poszerzał.

Wywiad ukazał się w: *Rita Baum*, 2017. nr 43, wiosna, s.71-5.

*

Zobacz też:

Adam Fiala. Artysta niepokorny.

Adam Fiala. Turpizm australijski.

Adam Fiala - wiersze i rysunki

Dziewczyną z ulicy
Pawnej,
która zachwyciła
Hollywood



Beata Poźniak-Daniels w Gdańsku, fot. Katarzyna Piotrowska

Choć wyjechała z Gdańska w połowie lat 80., wciąż wraca do rodzinnego miasta, bo czuje, że tu nadal jest jej dom. O amerykańskim śnie, przełomowej roli u Olivera Stone'a i tym, co nie wyszło, rozmawiamy z Beatą Poźniak-Daniels, aktorką, która pierwsze kroki stawiała na deskach Teatru Wybrzeże.

Alicja Olkowska:

Jak wygląda Gdańsk w pani wspomnieniach, jeszcze sprzed wyjazdu do Stanów? Gdzie pani mieszkała?

Beata Poźniak-Daniels:

Mieszkam – specjalnie mówię mieszkam, bo tutaj nadal znajduje się mój rodzinny dom, na ul. Piwnej. Mówią, że „wyjechałam”, ale ja sercem tu ciągle jestem, w dalszym ciągu u mamy. W tym mieście jest jakiś magnes, który przyciąga. Mimo że człowiek podróżuje i pracuje gdzieś w świecie, wraca do Gdańska. Poza tym tu były moje najważniejsze wspomnienia, momenty, gdzie się ukształtowałam – tu była pierwsza miłość, pierwsza szkoła, pierwszy teatr, pierwsza praca.

Do jakiej szkoły pani chodziła?

Chodziłam do SP nr 37 na ul. Ogarnej (obecnie mieści się tu Pałac Młodzieży). Wręcz kochałam to szkolne boisko, bo z chłopakami grałam tu w piłkę nożną. A naprzeciwko zawsze w przerwie podczas zajęć, pani w cukierni nam sprzedawała tzw. „murzynki”, moje ulubione ciastka. Nawet dawała nam większe porcje, a więc regularnie do niej wracaliśmy.

Pamiętam też, jak często wracałam ze szkoły, to wpadałam na

rozmowy o książkach z panią z księgarni na ul. Długiej, tuż przy kinie Neptun. Przez to zawsze pani mi dawała znak, kiedy przywiozą Różewicza, Witkacego czy Mrożka. Wiedziała, co mnie najbardziej interesuje. Potem, jak czasy się zmieniły i były kartki żywnościowe, dawałam jej moje kartki, żeby w zamian mieć książki spod lady. Były to czasy tzw. pustych półek.

Po szkole obowiązkowo chodziłam do Teatru Wybrzeże - byłam na każdej premierze, czasami po kilka razy na tej samej sztuce. Teatr to dwa kroki od Pivnej, a więc był moim drugim domem. Tutaj też zadebiutowałam (jeszcze jako studentka III roku PWSFTViT) w sztuce Sławomira Mrożka „Vatzlav” jako Justyna. A potem dyrektor obsadził mnie w „Panu Damazym” w reżyserii Jerzego Afanasjewa. Grałam Helenkę, córkę Tadeusza Gwiazdowskeigo (Pan Damazy). Skoro jeszcze byłam w szkole teatralnej, zaliczono mi te dwie sztuki jako dyplom. Było to zaraz po stanie wojennym w Polsce.

Kiedy pani poczuła, że aktorstwo jest pani powołaniem?

W rodzinie mamy lekarzy, a więc każdy myślał, że pójdę w ich ślady. W liceum wybrałam klasę o profilu biologiczno-chemicznym. Tylko że mnie „rozrywało” - miałam dużo pomysłów i chciałam je realizować. Byłam niespokojnym duchem. Brałam udział w zawodach szybkiej jazdy na lodzie czy piłki ręcznej, chodziłam na konkursy recytatorskie i też

założyłam zespół taneczny. Nie miałam wykształcenia baletowego, moje pomysły i wykonanie były raczej amatorskie, ale teraz z perspektywy czasu było to świeże i spontaniczne. Nawet zaskoczona byłam, że jeździliśmy na festiwalu. Świetna zabawa bez kompleksów i przejmowania się krytyką. Ale kto mógł się oprzeć ośmiu pełnym uśmiechu dziewczynom? (śmiech)

Beata Poźniak-Daniels w filmie „JFK” Oliviera Stone’a

W latach 80. wyjechała pani do Stanów. Zanim trafiła do filmu „JFK” Oliviera Stone’a, o zamachu na prezydenta Kennedy’ego, występowała we własnym teatrze eksperymentalnym, teledyskach, była modelką. Jak wyglądało życie dziewczyny z Polski, która w zupełnie nieznanej rzeczywistości musi zaczynać wszystko od nowa?

Gdy tylko przyjechałam do Los Angeles, w czasie spotkań do nowej sztuki, spodobały się moje pomysły producentowi i zaproponowano mi reżyserię spektaklu, a więc zaraz założyłam „Teatr Discordia”, teatr poszukujący i eksperymentalny. Nie wiedziałam tego wtedy, ale teraz to widzę z perspektywy czasu, że dlatego był to „poszukujący” teatr, bo w podświadomości „poszukiwałam” samej siebie na obczyźnie. Szukałam swojej tożsamości. Na pewno miłą niespodzianką było to, jak sztuka „Poeticus Umbilicus”, napisana przeze mnie, wybrana została przez Petera Sellarsa na Międzynarodowy Festiwal Teatralny. Nie mogłam uwierzyć, że ekipa CNN przyjechała do mojego

teatru, żeby przeprowadzić wywiad ze mną. Poczułam się nagle doceniona. Prawda jednak jest taka, że nie mogłam wyżyć z teatru i zostawiłam go w momencie największego sukcesu. Pomyślałam: co ja robię z teatrem w stolicy filmowej, w Hollywood?! I odcięłam pępowinę. Wtedy zadebiutowałam w „JFK” Olivera Stone’a. Kupiłam dom. Zrobiłam serial. Odżyłam. I tak pozostałam przy filmie i telewizji.

Wciąż jednak działała pani solo, z dala od domu i bliskich.

Tak, ale ważne było dla mnie to, żeby się sprawdzić w zawodzie. Nie miałam pomocy rodziny czy bliskiego partnera. Wszystko, co osiągnęłam to dzięki mojej własnej, ciężkiej pracy. Jak przyjechałam do USA, to nie miałam kilkunastu lat, gdy jest łatwiej z językiem czy oswojeniem się w nowej kulturze. Byłam już kobietą po studiach, a łatwiej się przesadza młode drzewo niż dojrzałe. A więc nie było łatwo, ale co łatwo przychodzi, łatwo odchodzi. Ludzie wspominają rzeczy, które przyszły z trudem.

Rola Mariny Oswald w „JFK” była przełomowa i otworzyła pani drzwi do Hollywood. Udało się też pani spotkać z samą Mariną, żoną domniemanego zabójcy prezydenta Kennedy’ego. Jaką była osobą?

Zacznę od tego, że praca przy tym filmie była nietypowa. Scenariusz otrzymałam i było napisane „Marina i Lee Harvey

Oswald na przyjęciu - ad lib" (ad lib - znaczy improwizacja).
Następne zdanie „Marina i Lee Harvey Oswald walczą, kłócą się - ad lib”. Gary Oldman, który grał mojego męża mówi do mnie: „Co my gramy? Nie ma zdań, nie ma sceny, dialogu!”. A więc Oliver Stone wysłał nas do Dallas i tak zaczęliśmy tworzyć rolę.

Potem spotkałam się z moją postacią, samą Mariną Oswald, żoną domniemanego zabójcy prezydenta Kennedy'go. Zamieszkałam z nią. Pokazywała mi zdjęcia i filmy dokumentalne, a ja je potem odtwarzałam dla reżysera. Przepisywałam jej słowa z dokumentów, które mi pokazywała i potem np. grałam to dla Olivera. Następnie spotykałam się Oldmanem i pisaliśmy swoje dialogi. Rano odgrywaliśmy to dla reżysera. Bardzo niecodzienny sposób pracy dla aktorów. I tak przez wiele miesięcy.

Jestem przekonana, że taka rola zdarza się raz w życiu dla aktora, jeżeli w ogóle. Zagranie postaci, historycznej, która żyje w naszych czasach. To nie jest to, że gram np. Królową Bonę i proponuję swoją interpretację. Tu była większa odpowiedzialność, bo wiedziałam, że Marina Oswald i jej rodzina żyje i to oceni.

W filmie pani mężem jest Gary Oldman, wspaniały aktor, ale też ponoć trudny człowiek. Winona Ryder, która występowała z nim w „Draculi” Coppoli narzekała, że praca

z nim była wymagająca, a on sam lubił przyjść na plan zdjęciowy po kilku drinkach. Jak pani się z nim pracowało?

Gary jest wybitnym kameleonem aktorskim. Bardzo głęboko wciela się w swoją postać – jest nią też pomiędzy zdjęciami, ujęciami i w czasie zdjęć. Poza planem w dalszym ciągu mówił do mnie akcentem Lee Harvey Oswalda. Ludzie często nie rozumieją, że praca aktora jest bardzo wymagająca i żeby dojść do perfekcji, czasem trzeba pójść na całość – całą dobę przeżywać postać.

Pamiętam, że mieliśmy do zagrania scenę walki, kłótni, a Oliver chciał, żebyśmy poszli na całość. Dzień przed zdjęciami czuliśmy się jak dwa tygrysy zamknięte w klatce. Scena się bardzo udała – Oliver ją dołączył do filmu, a była to improwizacja. Musimy pamiętać, że każdy aktor ma inny styl pracy. Na przykład Kevin Costner to żartowniś i tuż przed słowem „akcja” jeszcze kończy opowiadać mi kawał.

Beata Poźniak-Daniels w serialu „Merlose Place”

Potem był m.in. serial bijący rekordy popularności na całym świecie, czyli „Melrose Place”, produkcja samego boga telewizji, Aarona Spellinga. Dołączyła pani do obsady w dość zaskakujący sposób, kiedy wydawało się, że rola przepadła. Po czasie okazało się, że pani wątek wzruszył wielu widzów i stał się częścią przemian społecznych

w USA.

To prawda. Spelling chciał coś dla mnie napisać, ale ja nie umiem się odnaleźć w landrynkowych rolach, co powiedziałam głośno. Myślałam, że odpuści, a on napisał świetną postać lekarki, która samotnie wychowuje dziecko i wychodzi za mąż za geja, który staje się ojcem jej dziecka. W tych czasach był to pierwszy serial, który opowiedział historię takiej rodziny. Producenci dostali szaloną ilość listów z podziękowaniem za akceptację oraz zrozumienie takich rodzin, a moja postać w rankingach była numerem jeden. Ludzie podchodzili do mnie na ulicy i z niedowierzaniem pytali „Czy naprawdę wyjdiesz za mąż za Matta?!”.

Także dzięki pani w Białym Domu obchodzony jest Dzień Kobiet. Jak do tego doszło?

To trochę wynikało z mojego zainteresowania statystykami. Na przykład tylko 24 proc. członków Akademii Filmowej stanowią kobiety. Tylko jedna kobieta-reżyser do tej pory zdobyła Oscara. W ciągu 86 lat tylko 4 kobiety były nominowane za reżyserię. Ile kobiet zasiada w Senacie czy Kongresie? Ile kieruje i zarządza studiami filmowymi, ile jest pań dyrektorów teatrów, ile kobiet zostaje prezydentami miasta? Nie myśli się o tym na co dzień, ale kobiety odczuwają to. Gdy producenci przysyłają scenariusz i pytają się, co chciałabym zagrać, odpowiadam: interesuje mnie

rola John'a, bo John ma coś do zagrania, a Mary nie.

Pani audiobook został doceniony, a „Washington Post” umieścił panią na liście pięciu najlepszych lektorów. Czy w planach są kolejne wydawnictwa?

Jest to dla mnie wielkie wyróżnienie i zaskoczenie zarazem, bo Penguin Random House poprosił, zaraz po mojej narracji audiobooka o historii Katarzyny Wielkiej, która była bestsellerem, żeby przeczytać następną książkę „The Tsar of Love and Techno”. Washington wybrał 5 najlepszych książek i naszą umieścił na pierwszym miejscu. To nie tylko sukces dla wydawnictwa, ale sukces dla innych zagranicznych aktorów, bo po raz pierwszy wydawnictwo zatrudniło nieanglojęzyczną aktorkę. A więc jest szansa na kolejne projekty.

Czy coś się jednak nie udało w pani „amerykańskim śnie”? Czy żałuje pani, że gdzieś mogło pójść lepiej, inaczej, gdzieś trzeba było zapłacić wysoką cenę? Była pani brana pod uwagę przy filmie „Wywiad z wampirem”, ale ostatecznie nie dołączyła do obsady.

Tak, w tamtych czasach ogromne powodzenie miał serial „Melrose Place”. Był to wielki hit i producenci nie chcieli puścić mnie do żadnej innej produkcji, a szczególnie na zdjęcia do „Wywiadu z wampirem”. Teraz czasy się zmieniły, a więc

wszystko możliwe. Producenci rozumieją, że jak aktor zagra w znanym filmie i potem wracając do serialu będzie kontynuował swoją rolę, to dla nich to też jest sukces, bo nazwisko aktora z pewnością będzie bardziej rozpoznawalne.

Była też moja rola w filmie „Noriega” w reż. Olivera Stone’a, który obsadził mnie jako partnerkę Ala Pacino. Po dwóch miesiącach pracy i prób, studio Warner Bros powiedziało, że film robi się zbyt drogi i polityczny. To było dla mnie wielkie rozczarowanie. Wtedy zrozumiałam, że to nie tylko nam, tym „mniejszym i początkującym” artystom się to zdarza, ale też oscarowym twórcom jak Stone i Pacino. W końcu ta produkcja nigdy nie powstała.

W międzyczasie wracała pani do Polski, gdzie występowała w rodzimych produkcjach. Były m.in. seriale „Klasa na obcasach”, „Złotopolscy” i „Ojciec Mateusz”. Czy gdyby pojawiła się ciekawa propozycja stałej współpracy przy polskim serialu, zdecydowałyby się pani wrócić na dłużej do Polski?

Dużo czasu spędzam w Polsce, mam dom w Trójmieście i Los Angeles, a jestem tam, gdzie są ciekawe propozycje. Ceniłam pracę w „Złotopolskich”, to był dobry czas. Natomiast kierownictwo produkcji „Ojca Mateusza” napisało do mnie, że reżyser Maciej Dejczer chciałby mnie poznać i ma pomysł na

moją postać. Poprosił, abym przyjechała i zagrała gościnnie w serialu. I zaraz tak się stało. Świetny serial i miła przygoda.

Zawodowo osiągnęła pani duży sukces - wiele polskich aktorek marzy, by mieć podobną możliwość i zagrać u boku gwiazd w Hollywood. W parze z zawodowym spełnieniem szło u pani, co też jest dość niecodzienne, szczęśliwe życie prywatne. Często jest tak, że artyści mają albo jedno, albo drugie, a za sławę płacą wysoką cenę. Jak pani udało się to wszystko pogodzić?

Ważne, żeby się nie spalić w tym zawodzie i nigdy nie być zdesperowanym. Ja odnalazłam się w rzeźbie. Także maluję - mam pracownię. To jest miejsce, gdzie ciągle się odradzam, bo kreuję. Jest to miejsce ciszy, odetchnienia, odskocznia, gdzie słyszę swój wewnętrzny głos. Lubiłam przebywać u dziecka w szkole i nawet byłam tam wolontariuszką. Lubiłam poznawać innych rodziców, którzy nie byli z mojego zawodu. Mieli ciekawe życie, a przez to moje życie się wzbogacało.

Pani mąż jest Amerykaninem, ale syn potrafi mówić po polsku. Czy odwiedza z panią Polskę? Czuje, że jest to także dla niego ważne miejsce?

Jestem dumna z syna. Zdał egzamin państwowy z języka polskiego. Chciałam zaszczepić w nim od małego naszą

wspaniałą kulturę, tradycję, żeby mówił po polsku. Przecież odziedziczył po dziadkach słowiańską duszę i trzeba ten dar pielęgnować.

Tęskni pani za rodzinnym miastem i na bieżąco obserwuje, co się w Gdańsku dzieje?

Tak, oczywiście, to wciąż jest mój dom. Jak w Stanach mówię, że jestem z Gdańska, to już nie muszę dodawać „z Polski”, bo mi zaraz z uśmiechem odpowiadają: wiemy, ty pochodzisz z miasta Solidarności i Lecha Wałęsy!

*

*Wywiad ukazał się na portalu Trójmiasto.pl
(<https://rozrywka.trojmiasto.pl/>) 15 lutego 2016 r.*

*

Zobacz też:

Kobiety, które inspirują

Droga do nieba

Powrót z niepamięci

Rozmowa z dr Bogumiłą Żongołłowicz, pisarką, dziennikarką, dokumentalistką i biografką polskiego pisarza z Australii, Andrzeja Chciuka.



Bogumiła Żongołłowicz, Queensland State Archives, Brisbane, maj 2022, fot. ze zbiorów B. Żongołłowicz

Joanna Sokołowska-Gwizdka (Austin, Teksas):

W 2021 roku w Oficynie Wydawniczej Kucharski w Toruniu wyszła biografia „Andrzej Chciuk. Pisarz z antypodów” Pani autorstwa. To drugie, poszerzone i uzupełnione wydanie książki, która ukazała się nakładem Wydawnictwa Literackiego w Krakowie w 1999 roku. Niektórzy pisarze po napisaniu książki zamykają temat, z Panią Andrzej Chciuk cały czas jest. Jak Pani myśli, dlaczego?

Bogumiła Żongołłowicz (Melbourne, Australia):

Ponieważ stale przybywa mi materiałów na jego temat. Po niedawnym pobycie u wdowy po pisarzu w Queensland mogłabym z miejsca przystąpić do pisania trzeciego wydania jego biografii. Barbara Soddell przekazała mi kolejną porcję, tym razem bardzo prywatnych materiałów, uznając, że już przyszedł na to czas.

Co Panią w nim najbardziej fascynuje?

To nie jest sprawa fascynacji, a potrzeba, a nawet konieczność-powinność-obowiązek przekazywania przyszłości dorobku kulturowego Polonii australijskiej.

Rodzina Andrzeja Chciuka nazywa Panią „doktorem

chciukologii”. Ma do Pani pełne zaufanie, przekazuje archiwalia, wiedząc, że zostaną wykorzystane w jak najlepszy sposób. Czy było coś w tych dokumentach, co Panią zaskoczyło?

Trudno mówić o zaskoczeniu, kiedy praca nad biografią to poznawanie – krok po kroku – swojego bohatera. Było mi natomiast bardzo przyjemnie, kiedy z USA przyszło „Wrześniowe niebo” – debiut poetycki Andrzeja Chciuka – pisane „sobie na ukojenie w chwilach tęsknoty i chandry” w pierwszej połowie lat czterdziestych we Francji. Autor przekazał maszynopis przez przyjaciela rodzeństwu przebywającemu wówczas w Anglii. Chciał, aby jego „wypocinki” dotarły w jakiś sposób do matki na wypadek, gdyby nie wrócił do domu. Tymczasem pół wieku później podarowano teczkę z wierszami mnie. Mogłam stwierdzić, że część zawartych we „Wrześniowym niebie” utworów ukazało się w prasie emigracyjnej, ale poetycki książkowy debiut Chciuka nastąpił dopiero w 1962 roku i nosił tytuł „Pamiętnik poetycki”. Była to pierwsza książka wydana w języku polskim na antypodach.

Wiem, że odwiedziła Pani miejsca związane z pisarzem od Drohobycza na Ukrainie, w którym się urodził, po Melbourne w Australii, gdzie zmarł. Czy znalazła Pani to, czego szukała?

Nie powiedziałabym, że szukałam, ponieważ Drohobycz odwiedziłam już po złożeniu książki do druku (mówię o pierwszym wydaniu), natomiast w Melbourne mieszkam od ponad trzydziestu lat. Poleciałam natomiast do Niemiec. Do Planegg pod Monachium zaprosił mnie Tadeusz Chciuk, starszy o dwa lata brat Andrzeja, z którym wcześniej wymieniałam listy. Tadeusz zmęczony ciągłym odpisywaniem na moje szczegółowe pytania, napisał któregoś razu „Zapraszam do Celtowa”. Celtowo to dom Celta, a Celt – to literacki pseudonim Tadeusza powstały z inicjałów imion i nazwisk jego i jego żony. Innego pseudonimu – Michał Lasota – używał w Radiu Wolna Europa, w którym pracował przez wiele lat. W połowie lat pięćdziesiątych nie bardzo było mnie stać na tak daleką podróż. Uznałam jednak, że muszę ją odbyć dla dobra książki. Dość szczegółowo drohobyckie wspólne dzieciństwo i młodość opisał mi Władysław Chciuk z San Francisco, kolejny z braci mojego bohatera. Odpowiadał na wszystkie pytania niekiedy tylko pytając ze zdziwieniem – *Pani aż taka wiedza?*



Bogumiła Żongołłowicz (z prawej) i Barbara Soddell – wdowa po Andrzeju Chciuku, Brisbane 2022, fot. ze zbiorów B.

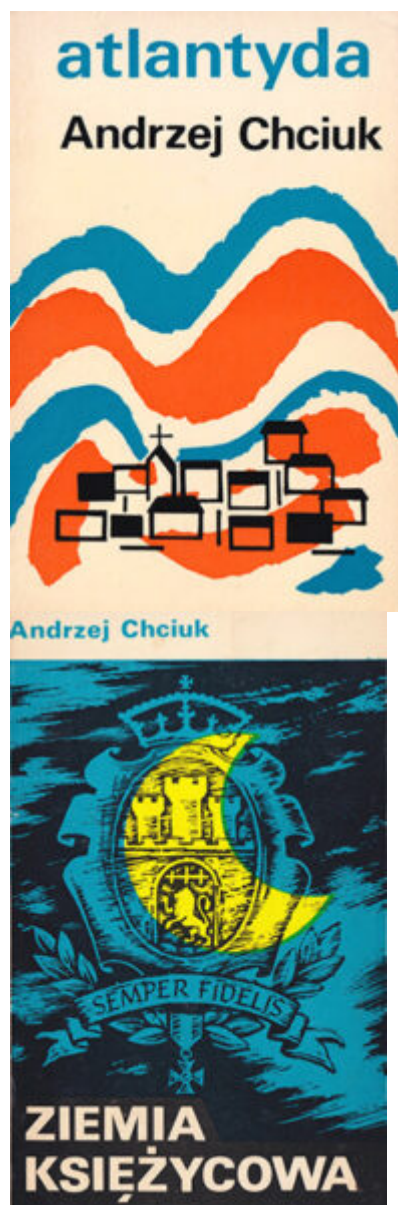
Żongołłowicz

Jak pisze Pani w książce, pisarz miał trzy żony. Z pierwszą, Barbarą Kulwieć pobrał się we Francji i miał z nią dwójkę dzieci, Jacka i Hanię. Z rodziną wyemigrował do Australii w 1951 r. Druga żona, Wanda z domu Poniatowska, zmarła nagle w wieku trzydziestu sześciu lat. Trzecia, Barbara Wilczyńska, była ponad dwadzieścia lat młodsza i ma Pani z nią dobry kontakt, co było widać, a raczej słyhać, podczas niedawnego hybrydowego spotkania zorganizowanego przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie z siedzibą w Londynie, w którym wzięła udział. Pisarz musiał mieć w sobie dużo uroku, że mimo nadwagi i trudnego charakteru, kobiety go kochały.

Na podstawie odsłuchu zachowanych nagrań mogę powiedzieć, że miał miękki głos, że mówił z wyraźnym kresowym akcentem. Na zdjęciach z młodości wyglądał przystojnie. Dałabym mu zaprosić się na randkę. W dorosłym życiu walczył nie tylko z nadmierną tuszą, ale i z chorobami. Zofia Kozarynowa nazywała go przesadnie w jednym ze swoich artykułów „otyłym, szpetnym i nieznośnym”. Uczyniła to w dziesiątą rocznicę śmierci pisarza. „Szpetny” znaczy „odrażający, ohydny, szkaradny”, a takim z całą pewnością nie był. Czy miał w sobie dużo uroku? Na pewno potrafił zjednać sobie otoczenie.

Andrzej Chciuk mówił bałakiem - gwarą lwowską. Jak dużo jest przeszłości w jego twórczości literackiej?

Bałak obecny jest w jego dwóch książkach-gawędach o „tamtej ziemi”, w „Atlantydzie. Opowieści o Wielkim Księżstwie Bałaku” i jej kontynuacji „Ziemi księżycowej. Drugiej opowieści o Księżstwie Bałaku”. Pierwsza książka otrzymała nagrodę londyńskich „Wiadomości”, które uznały ją za „najwybitniejszą książkę pisarza polskiego pochodzenia wydaną na emigracji w 1969 roku”. Doczekała się aż pięciu wydań, nie licząc tłumaczenia na ukraiński. „Ziemia księżycowa” miała cztery wydania i też została przetłumaczona na ukraiński, zresztą dzięki mojemu pośrednictwu między Barbarą Soddell i tłumaczką Natalką Rymską.



Okładki książek Andrzeja Chciuka ze zbiorów B. Żongolłowicz

Bałak szedł z Chciukami przez życie. Jakże wymowny jest fragment listu Władysława Chciuka do młodziutkiej Barbary Soddell (Wilczyńskiej): Musisz Basiu zrozumieć, że było nas czterech, właściwie każdy inny, każdy wybrał swoją drogę i swój cel. Wojna nas rozdzieliła, ale łączy rodzina i Drohobycz. Kto wie, co było ważniejsze. Po tylu latach nie jestem sam pewien. Chyba

bałak. Przytaczam ten list w obu wydaniach biografii Andrzeja. Władysław był lotnikiem podczas wojny, a czwarty brat to Antoni, o którym jeszcze nie mówiłam. Przybył do Australii przed Andrzejem. Pracował między innymi na poczcie. Jego nieszczęśliwe życie prywatne doprowadziło go (?) do samobójczej śmierci. Wypłynął na jezioro Eildon. Wypożyczona łódź „wróciła” pusta. Ciała nigdy nie odnaleziono. Do dziś jest uważany za *missing person*.

Jego nauczycielem języka polskiego w Drohobyczu był Bruno Schulz. Z Drohobycza pochodził też Kazimierz Wierzyński. Czy Andrzej Chciuk wspominał ich w swoich tekstach dziennikarskich?

W „Atlantydzie” jest rozdział zatytułowany „Bruno Schulz zaczarowany i zwykły”. Z moich ustaleń wynika, że miała powstać książka, aleteczka z napisem „Bruno Schulz”, już w chwili przejęcia jej przeze mnie od rodziny, była pusta. Moim zdaniem Chciuk nie był w stanie w dalekiej Australii, pozbawionej prawdziwych polskich ośrodków badawczych, polskich bibliotek ze specjalnymi zbiorami, zgromadzić wystarczającego materiału na obszerną publikację. Sama pamięć o nauczycielu, a nawet wspomnienia innych uczniów Schulza, do których dotarł, nie były wystarczające. Wymienił kilka listów z Jerzym Ficowskim, specjalistą od twórczości Schulza, ale tego też było mało. Za mało na książkę.

Tytuł „Ziemia księżycowa” nasunął się Andrzejowi Chciukowi po przeczytaniu wiersza Kazimierza Wierzyńskiego „Księżyc”. Pierwsza zwrotka tego utworu jest mottem do wspomnień pisarza. Dedykowany Wierzyńskiemu – niestety pośmiertnie – fragment „Atlantydy” zatytułowany „Góry, nasze góry” ukazał się w „Wiadomościach” (26/27/1969). Wierzyński „usynowił” Chciuka.

Przedstawionego przez Panią Andrzeja Chciuka odbiera się jak żywego człowieka, pełnego rozterek, borykającego się z problemami na emigracyjnej ziemi, mającego się różnych profesji, a przede wszystkim posiadającego pasję pisarską. Jak Pani się to udało?

To wypadkowa wysiłku, uporu i talentu. Poza tym sama jestem emigrantką i do pewnego stopnia doświadczyłam tego samego, co mój bohater, co pomogło mi w pisaniu.

Jak wspominała Pani wielokrotnie, o Andrzeju Chciuku mówiło się, że jest „najlepszym kucharzem wśród poetów”. Z pisania trudno wyżyć, pisarz musi mieć często tzw. *day job*. Bohater Pani książki był szefem kuchni w różnych, niekiedy prestiżowych miejscach. Gotował też polskie dania - zupę piwną i bigos myśliwski. Podjął kolację Artura Rubinsteina i jego żonę Nelli, podczas tournée pianisty po Australii w 1964 r. Zacytuję przepis na „zakąskę a la

Rubinstein” (s. 204): Awokado „miało dziurkę po pestce wypełnioną sosem vinaigrette z dużą ilością krewetek i trochę śledzika z cebulką drobno posiekanego, i ząbeczek czosnku, i jajeczko, na twardo z majonezikiem (...) i kilka kropelek koniaku Otard, i korniszonek (...), i trembulkę”. Czy sądzi Pani, że Andrzej Chciuk w gotowaniu znajdował upust dla swojej kreatywności?

Wiem, że nosił się z zamiarem wydania książki kucharskiej. We Francji poznał „najlepszego pisarza kulinarnego”, jakim był Édouard de Pomiane czyli Edward Pożerski. Znał jego książeczkę poświęconą polskiej kuchni “La Cuisine polonaise: vue des bords de la Seine”. Pomiane-Požerski lubował się w wyrafinowanych daniach. Chciuk również. W menu restauracji „The Polonaise” w Melbourne, w której „szefował” znajdujemy takie potrawy jak STEAK a’ La Waltzing Matilda (nieoficjalny hymn Australii) i CARP a’ La Kosciuszko (nawiązanie do nazwy najwyższej góry Australii). Dodam, że w lokalu, który prowadził dziennikarz Jerzy Grot-Kwaśniewski, kierownikiem artystycznym był Gwidon Borucki – pierwszy wykonawca piosenki „Czerwone maki na Monte Cassino”. Stanowili doborową trójkę.



*Okladka drugiego wydania biografii Andrzeja Chciuka, projekt
Zuzanna Lipińska*

*Bogumiła Żongołłowicz, National Archives of Australia, Canberra
2022, fot. ze zbiorów B. Żongołłowicz*

**Poszukując informacji na temat pisarza, natrafia się
głównie na Pani opracowania: wywiady, artykuły, materiały**

z konferencji. Jest też Pani autorką jeszcze dwóch książek o Andrzeju Chciuku - *Kabaret „Wesoła Kookaburra”* (2004) i *O pół globu od domu: obraz Polonii australijskiej w twórczości Andrzeja Chciuka* (2007). Wyciągnęła go więc Pani z niepamięci. Kim jeszcze się Pani zajmowała w swojej pracy dokumentalistki?

Lista osób jest dość długa. Wspomnę o kilku postaciach. Zatem byli to: Andrzej Gawroński, Roman Granowski, ks. Konrad Trzeciak, płk Jerzy Gruszka, Lidia Duda-Groblicka, Krystyna Jackiewicz, Ludmiła Błotnicka, Roman i Krystyna Pawłowscy, Natalia i Mieczysław Kułakowscy, Jan Dunin-Karwicki, Jerzy Grot-Kwaśniewski i wielu innych.

Powracając do książki, oprawą graficzną zajęła się uznana graficzka Zuzanna Lipińska, córka Eryka Lipińskiego, karykaturzysty, dziennikarza, grafika, założyciela ilustrowanego czasopisma satyrycznego „Szpilki” oraz Muzeum Karykatury w Warszawie. Jak wyglądała ta współpraca?

Lipiński zilustrował cykl „Pierwsi Polacy we Francji” z tekstem Chciuka w tygodniku „Polska i Świat” w 1950 roku. Przebywał wtedy na stypendium twórczym w Paryżu, gdzie pisarz mieszkał po wojnie do czasu wyjazdu do Australii. Biblioteka Narodowa w Warszawie zgodziła się wykonać skany z tego pisma po

uzyskaniu pisemnej zgody od spadkobierców. Tak zaczęła się nasza znajomość na odległość, która doprowadziła do wydania biografii najbardziej znanego pisarza polskiego w Australii w pięknej szacie graficznej, za co jestem Zuzannie dożywotnie wdzięczna. Zuzanna zaprojektowała również moją stronę internetową

Książkę czyta się jednym tchem, jak beletrystykę. To duża zaleta pozycji biograficznej. Nie zatracając warsztatu naukowego, operuje Pani językiem literackim i wciąga czytelnika w koleje losu australijskiego emigranta z talentem pisarskim. Czy ma Pani już odzew czytelników?

W myśl przysłowia, że skromność nie popłaca, odpowiem, że tylko pozytywny. Ktoś nawet napisał, że szkoda, że to wydanie drugie, bo nie można jej było zgłosić do Górnośląskiej Nagrody Literackiej Juliusz.

Może następna książka będzie miała więcej szczęścia, czego Pani z całego serca życzę.

*

Zobacz też:

Wkład Polaków w kulturę artystyczną Australii